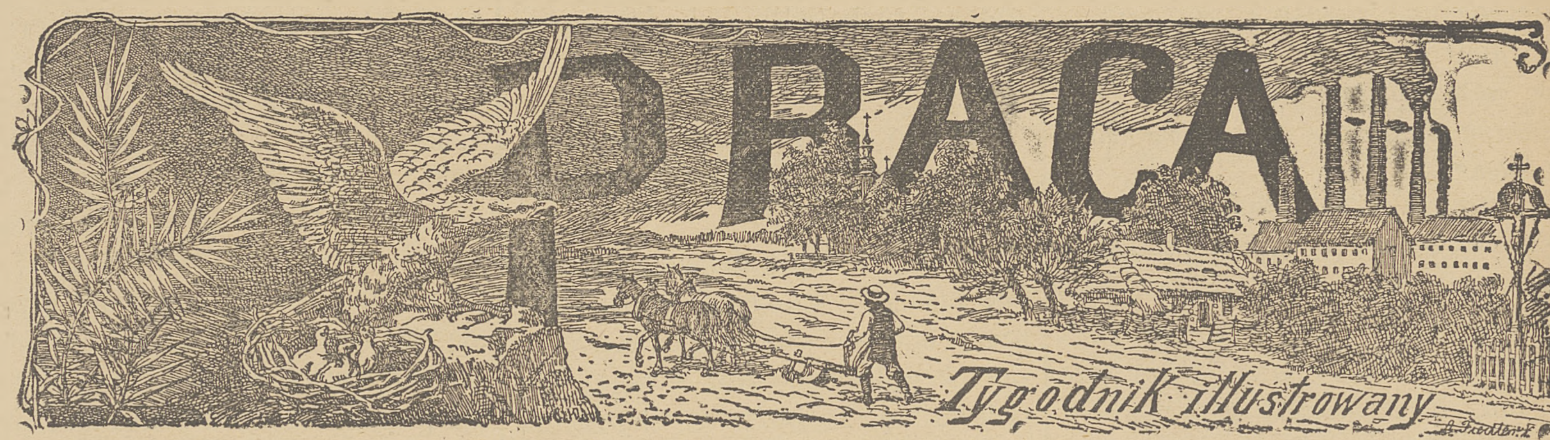
Nr. 39. Poznań, Niedziela dnia 29-go Września 1901 r. Rok V.



*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 m.**; na poczcie w Austro-Węgrzech **1 kor. 73 hal.***
Pod opaską:** w Niemczech **1,90 mr.**, w Austro-Węgrzech **2 kor. 30 hal.** za Oceanem **1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Pod dawny sztandar.

W ciągu letnich miesięcy, jak wiadomo, ubywa zazwyczaj pismom abonentów, gdyż czytaniu nie sprzyjają długie dnie i praca wytężona przy roli; dopiero pod jesień znów długie wieczory przypominają ludziom, że nietylko samym chlebem żyje człowiek, ale że i dla ducha coś trzeba zrobić i o jakiś pokarm się postarać.

W naszem piśmie wprawdzie dzięki wytężonej pracy naszych przyjaciół nieznać było podczas lata uszczerbku w liczbie abonentów, bo jeśli jedni chwilowo ubyli, to ubytek ten pokryli nowo, po raz pierwszy, zapisujący „Pracę“ przedpłaciciele. W ten sposób przypływ i odpływ się regulował. A teraz w miarę zbliżania się zimy i w miarę powrotu sezonowych wychodźców w strony rodzinne wracają i nasi dawni abonenci — pod dawny sztandar, niejednokrotnie powitalnymi nas darząc listami.

Jakże ich powitać mamy, zarówno tych dawnych, jak i tych nowych abonentów, którzy stają pod naszym sztandarem, poddając się moralnemu kierownictwu pisma naszego na polu pracy około podniesienia narodu... Witamy ich tem poważnem słowem, któreśmy już niejednokrotnie z tego miejsca powtarzali, że pismo nasze nietylko wiele daje swym czytelnikom, ale — w znaczeniu moralnem — wiele od nich żąda. Żąda od nich, aby według naszych wskazówek pracowali w obrębie swych rodzin, swych szczupłych lub rozległych stosunków.

Chcielibyśmy wytworzyć z naszych czytelników dobraną, a zgodnie pracującą drużynę podług jednolitego planu, ożywioną jedną i tą samą myślą: radykalnej obrony narodowości przed germanizacyą. *Chcielibyśmy, aby prawdą było w stosunku do każdego naszego czytelnika, co powiedział pewien proboszcz niemiecki na obczyźnie o jednym górniku, gdy go zapytano, jakiego rodzaju to człowiek. „To najgorszy agitator polski“ mówił ten ksiądz, a gdy nie chciano dać wiary, dodał jako przekonywujący dowód, wobec którego nikną wszelkie wątpliwości: „on abonuje „Pracę.“*

Chcielibyśmy, powtarzamy, aby o każdym z naszych czytelników było można powiedzieć to samo: bo w dzisiajszych czasach nazwa „agitatora polskiego“ to niemal godność honorowa, to w każdym razie świadectwo pewnych zasług, pewnej pracy społecznej.

„Praca“ jest pismem, które nie stoi w miejscu, lecz które wśród politycznych prądów dnia idzie niezachwianie naprzód, które dało już, daje wciąż i dawać będzie zawsze impuls do wielu zmian w politycznym ustroju naszego społeczeństwa, w politycznej i społecznej jego pracy. W tem szukamy naszej chluby, w tem chcemy dorobić się z czasem zasług.

I dlatego też „Praca“ jest najbardziej znienawidzonem pismem z pomiędzy wszystkich, które hakatystom stały się solą w oku. Bo pismo nasze stara się zawsze być wiernem odbiciem tej energii w walce, jaką żywią tysiące wśród naszego społeczeństwa. Więc też nie szczędzą nasi nieprzyjaciele podstępów i knowań, aby tylko „Pracy“ zaszkodzić. Oto parę przykładów, które zakomunikowali nam nasi czytelnicy. W Berlinie jeden z czytelników chciał na poczcie zapisać sobie „Pracę.“ Gdy z kwitem z na-

szego pisma wyciętym zjawił się u okienka urzędnika pocztowego (było to w Berlinie S., nasz abonent mieszka na Urbanstr.), urzędnik go odprawił z niczem, mówiąc: „Was? Sie wollen dieses Blatt Praka? Das erscheint nicht mehr, das ist vom Kaiser verboten.“

W taki oto sposób walczą z naszem pismem! Każdy, kto te słowa przeczyta, powinien odrazu ogarnąć myślą te rozmaite inne trudności, o których nawet pisać nie można, a z któremi walczyć musimy na każdym kroku.

Lecz i inne żywioły starają się mścić na „Pracy.“ Oto ze Strzelna nam donoszą o fakcie takim: z poczty szła przez miasto dziewczyna, niosąc gazety, a między niemi kilka numerów „Pracy.“ Jeden numer niepostrzeżenie się jej wysunął i upadł na ziemię. Właśnie nadszedł na to miejsce znany wszystkim Polakom tamtejszym kupiec żydowski, stary L. i przeczytawszy tytuł pisma, niby od niechcenia trącił je kilkakrotnie kijem tak, aby wpadło w kałużę, potem zaś kilkakrotnie piętą przydeptał. Był jednak świadkiem tego czynu pewien Polak, wyciągnął numer podeptany i schował go jako dowód zemsty, wywieranej przez obcoplemieńców na polskiem piśmie.

Podobnych faktów moglibyśmy całe tuziny przytoczyć. Nasi przyjaciele zatem niechaj czuwają pilnie nad rozwojem „Pracy,“ niechaj przez zjednywanie nowych czytelników szerzą jej wpływy, aby w niwecz się obróciły te mściwe intrygi obcych. —

Numer niniejszy jest ostatnim w bieżącym kwartale.

Redakcya.

Pierwsze strzały.

W Zaborzu, na Górnym Śląsku, odbył się wiec polski. Fakt to w politycznych stosunkach Księstwa Poznańskiego zwykły, — na Górnym Śląsku zaś nader doniosły.

W Poznańskiem nasi nieprzyjaciele już się oswoili z tem, że lud polski czuje i myśli, — że chce *radzić* o swych krzywdach, na Górnym Śląsku zaś po dziś dzień narodowy ruch polski uchodzi za produkt wybujałej „agitacyi wielkopolskiej.“

Ileż to tam trudności trzeba było przełamać, zanim się do takiego wieca doprowadziło!

Najpierw trudności wewnętrzne: Nie mamy tu na myśli stosunków specyalnie w Zaborzu, lecz bierzemy ogólne położenie pod uwagę, gdy twierdzimy, że pierwszą taką zaporą w urządzeniu wieca jest władza kościelna. „Po co wam wiec, ludzie?“ zapyta proboszcz — Niemiec, a i z ambony nieraz napomknie coś o „agitatorach, którzy mu jego parafią buntują, a których trzeba unikać.“

To nie tak, jak w Poznańskiem, gdzie wraz z urządzającymi wiec polski rzemieślnikami zasiada na ławie oskarżonych zacny i czcigodny kapłan polski, a prokurator wskazuje na niego, jako na moralną sprężynę wieca. — —

Na Śląsku dzieje się raczej odwrotnie: tam, w braku innych, lepszych źródeł landrat od księdza-Niemca bezpośrednio lub pośrednio dowie się, którzy to są w parafii ci „agitatorzy“ — a wtedy: biada im! Jeśli pracują w fabryce, to czeka ich wydalenie, jak to niedawno spotkało kilku robotników polskich w Wełnowcu (Hohenlohehütte). Jeśli który, nie daj Boże, jest w rządowej służbie, wypędzą go; jeśli ma konsens na wyszynk, zagrożą mu odebraniem; jeśli jest zupełnie niezależny, to go sobie miejscowa policya i pan „amtowy“ głęboko w sercu zapisze, aż przyjdzie na niego kreska. —

„Precz z agitatorami polskimi!“ tak brzmi przecież hasło wszemożne na Górnym Sląsku.

Więc trudno z wiecami, bo któż zameldować ma, jako zwołujący! A wreszcie kwestya sali. Restaurator niemiecki sali nie użyczy, bo pocóż ma ściągać na siebie niełaskę policyi? Restaurator Polak, jeśli jest taki i jeśli da salę, może być pewien, że w przeddzień zebrania zjawi się u niego komisya policyjna lub budowlana i albo odkryje nagłe niebezpieczeństwo zawalenia się i budę każe mu wogóle zamknąć, albo znajdzie przynajmniej jakieś drzwi z zepsutą klamką, lub coś podobnego. To już wystarczy! O, bo czuła policya dba o to, aby zaraza agitacyi polskiej nie szerzyła się między wolnymi obywatelami konstytucyjnego państwa pruskiego! O jakąś tam klamkę, lub źle obracający się w zawiasach wentylator, albo niedomykające się w lecie drzwiczki od pieca zahaczy się wolność wiecowania, ale konstytucya pozostanie — konstytucyą.

Lecz wrócimy do wieca w Zaborzu. Po wielu trudnościach szczęśliwie przełamanych, wiec mógł się odbyć. Już za to samo wdzięczność ludu zaskarbili sobie inicyatorowie wieca.

Na przewodniczącego powołano popularnego w przemysłowym obwodzie górnośląskim i lubianego powszechnie Dra Stęślickiego z Laurahuty, którego w licznych listach do naszej redakcyi nasi zwolennicy wymieniali już dawno jako jednego z tych, którym by lud górnośląski w pierwszym rzędzie chciał powierzyć swe mandaty, opanowane dziś przez Ballestremów, Heisigów, Glowatzkich i Faltinów.

Głównym mówcą był p. Siemianowski, redaktor „Katolika.“ W półtoragodzinnem przemówieniu, które o znanym zresztą ze swej wymowy redaktorze składało świadectwo, że zdolności jego z mównicy wystarczyłyby i na szerszą arenę polityczną, pan Siemianowski omawiał *sprawę polską na Górnym Śląsku.* Mowę jego przerywano często burzliwymi oklaskami.

Wytrawny mówca poruszył wszystkie ważniejsze sprawy palące: mówił więc zarówno o stosunku Polaków do rządu pruskiego, jak i katolików Niemców do nas. Mianowicie też germanizacyi przez kościół poświęcił szereg trafnych uwag.

„Stosunek ludu polskiego do rządu pruskiego — są to słowa mówcy — zupełnie jest wyjaśniony. Rząd pruski nigdy nie zrobi nic takiego, z czegoby ludność polska

mogła mieć korzyść dla swego narodowego rozwoju. O tem pamiętać winniśmy wszyscy. Lecz nietylko rząd, ale i Niemcy katolicy, stronnictwo centrum i zwłaszcza duchowieństwo w podobnymże stoją do *naszej sprawy* stosunku.“

W tych jędrnych słowach wybornego swego przemówienia streściwszy stuletnie prawie doświadczenia żywiołu polskiego pod rządem pruskim, przeszedł p. Siemianowski do szczegółowego omawiania rozmaitych punktów. Następnie przemówił p. Dombek, kładąc nacisk na wychowanie młodzieży po polsku i na rozszerzanie elementarzy polskich.

Jakkolwiek jednak dość silne i jędrne były oba te przemówienia, brakło w nich tego, na co lud górnośląski z takiem utęsknieniem wyczekuje; brakło w nich hasła: *będziemy wybierać Polaków!*

Ale to hasło samo z natury rzeczy wyłaniało się z przemówień, a choć nie wypowiedziane przez obu pierwszych mówców, przecież tak jasno stało przed oczyma licznie zebranych wiecowników, jakby niewidzialna ręka jakaś kreśliła je wyraziście ponad mównicą.

Nie chcemy więc z tego robić zarzutu mówcom; może chcieli oni nawet, aby to hasło samo z pośród wiecowników *przebojem* utorowało sobie drogę. Lud górnośląski nie powinien wstydliwie chować pod korzec swego zdania o posłach-Niemcach, lecz jasno i dobitnie swe zapatrywanie zaznaczyć.

To też po krótkiem *intermezzo*, w którem redaktor socyalistyczny, p. Morawski, chciał wtrącić swoje trzy grosze, zabrali głos pp. Leśniak i Blachut, zwolennicy „Pracy,“ i nasi mężowie zaufania, aby w krótkich, ale dobitnych słowach poruszyć sprawę wyborów. *„Jeśli mamy wysyłać do Berlina takich posłów, którzy sprawie naszej polskiej nie służą, to lepiej wysyłajmy snop słomy!“* — zawołał p. Blachut, a huczne brawo było echem tych słów.

Oby echo tych słów szło z jednego wieca na drugi, coraz potężniało, a przy wyborach oby głośno i potężnie jak grzmot się odezwało, a z pewnością nie „snop słomy,“ lecz kilku nowych posłów-Polaków lud polski z Górnego Śląska pośle do Berlina!

Co daj Boże!

Vester.

Solidarność polska, a sprawa nasza na Górnym Śląsku.

Jeden z redaktorów pism centrowych, wychodzących w Westfalii w okolicy, licznie zaludnionej przez Polaków, wyraził się niedawno w publicznem przemówieniu, że dla centrum obojętną byłaby strata kilku mandatów poselskich, któreby wzięli dla siebie Polacy.

Omawiając to zapatrywanie, *„Kölnische Volksztg.“* daje dobrą radę swym zbyt nerwowym towarzyszom z pod centrowej chorągwi, — pisze mianowicie: „nie patrzcie na Polaków z góry, nie rzucajcie im obelg w waszych mowach, bo odpowie wam za to — — Górny Śląsk.“

W tych słowach — obok zdrowej rady politycznej, kryje się coś, nad czem każdy Polak głęboko się zastanowić powinien. W słowach tych zawiera się przekonanie, że Polacy są tak solidarni między sobą, iż za krzywdy wychodźców naszych obliczy się społeczeństwo z krzywdzicielami na gruncie swoim; a gdy tam nad Renem zawoła jakiś pupil centrowców *„polnisches Schwein“*, lub *„verkommenes Volk“*, — to parę mandatów lud polski odrazu odbierze za karę na Śląsku temu stronnictwu, które przeciw nam występuje w Westfalii.

Przyznajemy, owszem, że wytworzenie takiej spójności wszystkich dzielnic polskich, pozostających pod zaborem pruskim, powinno być celem i marzeniem każdego Polaka; przyznajemy, że widzimy w tem zadanie, przechodzące miarę sił przeciętnego życia ludzkiego, aby taką spójność i jednolitość wytworzyć; widzimy nawet, że tylko taka wspólność i jednolitość polityczna całego żywiołu polskiego w obrębie Niemiec zdolna jest nam zapewnić znaczenie i zrobić z nas siłę wobec wynaradawiającego państwa, — ale przyznać musimy ze smutkiem, że do takiej solidarności poszczególnych dzielnic jeszcze nam daleko.

Stoimy zaledwie dopiero u początków tej drogi, po której już oddawna kroczyć powinniśmy; jeszcze przecież najspokojniej w świecie dzierżą swój separatystyczny mandat posłowie, którzy reprezentują zasadę odrębności interesów politycznych Księstwa Poznańskiego, a którzy o Górnym Śląsku nie chcą nic wiedzieć; a objawy tej solidarności politycznej pomiędzy pojedyńczemi dzielnicami polskiemi w obrębie granic niemieckich nie wyszły poza teoretyczne rozważania i nadzieje. Pierwszą ogniową próbą tej solidarności pomiędzy rozstrzelonemi dzielnicami będą naprawdę dopiero przyszłe wybory. W nich to żywioł polski w całem państwie niemieckiem powinien wystąpić jako jedna zwarta, jednolita i jedną ożywiona myślą masa; te przyszłe wybory mają dać na cały szereg lat następnych społeczeństwu polskiemu tę polityczną dyrektywę, że polityka polska w obrębie Niemiec powinna formować niejako zawarty w sobie trójkąt, którego trzema węgielnymi punktami są *Górny Śląsk, Poznańskie z Prusami i wychodźtwo.*

O bezpośrednio politycznem znaczeniu naszego wychodźtwa polskiego w wyborach do parlamentu rozpiszemy się niebawem, uzasadniając liczbami i faktami nasze zapatrywania; znaczenie to jest w każdym razie większe, niż napozór by się zdawać mogło. Nietylko bowiem przeciw centrum w okręgu Essen i Recklinghausen padną głosy polskie w przyszłych wyborach, ale nadto w okręgach Bochum, Dortmund i Hamm, skąd posłują narodowo-liberalni, głosy polskie najpoważniej będą mogły zaważyć na szali.

O wybory *polskie* w Westfalii

i nad Renem możemy być spokojni; poprowadzą je za półtora roku te same wytrawne i stanowcze dłonie centralnego komitetu wyborczego na obczyźnie, które sterowały niedawno wyborami w Duisburgu.

Inaczej się rzecz ma z Górnym Śląskiem. Tam właściwie w dziesięciu okręgach należałoby postawić kandydatów polskich, ale trudności zarówno ogólnej jak i lokalnej natury są wielkie, tam jeszcze niema centralnego komitetu; tyle jednak dziś już można powiedzieć napewno, że *w 7—8 okręgach polska myśl narodowa nie skapituluje przed trudnościami sytuacyi* i ideę solidarności Górnego Śląska z resztą ziem polskich z pod berła pruskiego podniesie wysoko.

Interes cały przyszłych wyborów będzie się koncentrował bądź co bądź na Górnym Śląsku. Stamtąd nadchodzące wieści będą miały decydujący walor w walce żywiołu polskiego w obronie narodowości. Od wyniku wyborów na Górnym Śląsku, — od tego, czy idea solidarności pomiędzy prowincyami polskiemi przezwycięży bierne poddanie się losom, zależeć będzie może nowy zwrot w rozwoju żywiołu polskiego w całem państwie pruskiem.

O tem niech pamiętają z dumą ci wszyscy, którzy dziś nie bez trwogi i walki wewnętrznej i nie bez ofiar przyłożyć chcą rękę do tego wielkiego dzieła: *pracują oni dla historyi.*

Dr. K. Rakowski.

Niedojrzałe owoce.

W pierwszej połowie bieżącego roku od lutego do maja, utrzymywały się stale pogłoski o zagrażających Księstwu Poznańskiemu prawach wyjątkowych.

Pogłoski te, przyjmowane przez jednych z zupełną wiarą w prawdopodobieństwo takego ostrzejszego jeszcze zwrotu w polityce antypolskiej Prus, przez innych z niedowierzaniem, opierały się na prawdzie. W tym właśnie czasie nerwowo pracowano w ministerstwach pruskich nad wynalezieniem sposobu ograniczenia obywatelom narodowości polskiej ich praw konstytucyjnych. Inicyatywa w tym razie wyszła od dyrektora ministeryalnego *Küglera,* który w ministeryum wyznań od szeregu lat rej wodzi i kolejno ponad głową ministrów Bossego i obecnie Studta potrafił zawsze nadawać ton polityce ministerstwa wyznań. Jeden tylko minister Zedlitz potrafił trzymać go na wodzy.

Pan ten, wierny wykonawca politycznego testamentu swego mistrza Bismarka, po ustąpieniu kanclerza Capriviego, zwrócił szczególniejszą uwagę na politykę antypolską, mając rozwiązane ręce wśród słabych rządów starego ks. Hohenlohego.

Obecnie, za inicyatywą radzcy Küglera zajęto się w ministerstwach rozważaniem sposobów zawieszenia konstytucyi faktycznego, lub oficyalnego dla Polaków. Konferencye odnośne nie doprowadziły jednak do pozytywnych rezultatów, ponieważ dla parlamentarnych debat brakowało materyału argumentacyjnego i uzasadniającego.

Ufając w to, że wprawdzie w tropieniu „intryg polskich" władze pruskie nie zawiodą oczekiwań rządu, postanowiono odnośne przedłożenia poddać pod dyskusyę parlamentu dopiero wtedy, gdy szereg sądowych wyroków przypieczętuje „wybryki polskiej agitacyi" na polu stowarzyszeń, publicznych zebrań, i prasy.

Od lutego więc, aż do ostatnich chwil policya pruska polityczna pracowała z nerwowem naprężeniem, aby wszechstronnie i równocześnie zaaranżować głośne, sensacyjne procesy przeciw Polakom. Procesy te miały przygotować i usposobić niemiecką opinię publiczną w kierunku ograniczeń konstytucyi dla Polaków. Pan radzca Zacher, kierownik politycznej policyi poznańskiej z Poznania, przez cały miesiąc bawił w Berlinie, układając zapewne w ministerstwie plan kampanii.

Wnet padły pierwsze strzały. Równocześnie wytoczono licznym pismom polskim procesy prasowe, a nawet — rzecz niebywała w pruskiem prawie prasowem — zaczęto konfiskować całe nakłady. Szereg rewizyi i aresztowań redaktorów polskich dał przedsmak tego, co nastąpić miało.

Równocześnie prawie bezprawnie rozwiązano zgromadzenie publiczne w Gostyniu. We Wrześni odpowiedniem zachowaniem się wobec dzieci polskich doprowadzono ludność do rozpaczy i do znanych zbiegowisk przed szkołą i protestów wobec nauczycieli; proces akademików w Poznaniu nadać miał poważne polityczne tło całej zamierzonej akcyi antypolskiej; wreszcie proces gimnazyastów w Toruniu miał zapewne uwieńczyć dzieło wydobyciem na jaw — — spiskowania nawet wśród młodzieży szkolnej przeciw państwu pruskiemu.

To kunsztownie zestawione koło rozprysło się jednak obecnie: proces przeciw wiecownikom gostyńskim skończył się ich uwolnieniem; „buntownicy" we Wrześni zaskarżyli nauczycieli o katowanie dzieci i zapewne skazani zostaną — nauczyciele; proces akademików skończył się — odroczeniem, a proces gimnazyastów wywołał zdziwienie połączone ze śmiechem nawet na łamach dość blisko rządu stojących organów prasy niemieckiej.

I zapewne prysną jak bańka mydlana plany, wyhodowane w cieplarnianej atmosferze hakatystycznej przez pana Küglera: Jeszcze sytuacya nie dojrzała do zbyt bezwzględnych praw wyjątkowych przeciw Polakom — jeszcze owoc za kwaśny.

Ordon.

Kwestya armeńska.

Od pewnego czasu poczyna znowu wysuwać się na porządek dzienny i zaprzątać uwagę świata politycznego nie szczęsna kwestya armeńska. Trapiona przez krwiożercze plemiona kurdyjskie, prześladowana i wystawiona na straszne prześladowania i gwałty ze strony władz i żołnierzy tureckich, ludność armeńska nie mogąc znaleść posłuchu i opieki w Konstantynopolu, ucieka się do samopomocy i z tego wytwarzają się stosunki przejmujące grozą świat cywilizowany.

Ostatnie doniesienia potwierdzają między innemi w zupełności obiegającą od miesiąca pogłoskę o rzezi Armeńczyków w mieście Musz. Krwawe to zajście ma swoją historyę, której przebieg jest następujący: Turek Paszari Halil, który we wszystkich dotychczasowych z ostatniej doby zaburzeniach przeciw armeńskiej ludności dał się poznać jako niesłychany okrutnik, napadł w lipcu br. na czele hord kurdyjskich kilka wsi armeńskich, część mieszkańców wyciął, część zaś zmusił do opuszczenia swych siedzib i schronienia się w góry. Kula, która

niebawem po tem dosięgła go z zasadzki, była nagrodą jego czynów. Gdy wkrótce po tym wypadku padł z ręki Armeńczyków pewien dostojnik turecki, aresztowały władze tureckie 95 ze starszyzny armeńskiej, a bracia wyżej wzmiankowanego Halila napadli niespodzianie na pracujących w polu Armeńczyków ze wsi Arsagh i wszystkich ich wymordowali.

Obawiając się krwawej zemsty ze strony ludności armeńskiej, powołał gubernator Muszu na tajną naradę tureckich i kurdyjskich przywódzców. Na tej naradzie wódz plemienia kurdyjskiego Balak, wystąpił z ciężkiemi zarzutami przeciw władzom rządowym, obwiniając je o brak energii wobec Armeńczyków i domagając się, aby gubernator pozostawił mu zupełną swobodę w sprawieniu się z „rokoszanami“ armeńskimi, przyczem nie uważał za potrzebne taić, — iż zamiarem jego jest wycieńcie ich w pień.

Gubernator pochwalił wprawdzie gorliwość Balaka, oświadczył wszakże, iż nie może przychylić się do jego żądania bez otrzymania ku temu odpowiedniego upoważnienia. Po zebraniu jeden z naczelników kurdyjskich Hadżi Fero udał się na czele swoich towarzyszy w kierunku Bitlis, w drodze atoli wpadł w zasadzkę zbrojnego oddziału armeńskiego i zginął wraz ze wszystkimi swoimi kompanami. Stało się to w miejscowości Rawa, oddalonej o ośm godzin drogi od Muszu. Skoro Turcy i Kurdowie w Muszu dowiedzieli się o tem, uderzyli na tamtejszą ludność armeńską i wyprawili straszną rzeź. Wedle wiadomości otrzymanych przez poselstwa zagraniczne w Konstantynopolu, motłoch rozpasany nie oszczędzał ani kobiet, ani dzieci i formalnie pławił się we krwi. Armeńczycy bronili się rozpaczliwie, to też padło także wielu po stronie napastników.

Równocześnie z doniesieniem o tej rzezi nadeszła wiadomość, że Armeńczycy w Sassunie usiłowali wysadzić w powietrze tamtejsze koszary wraz z całą załogą. O tych koszarach znajdujemy w liście z Muszu do „Pol. Corresp.“ następujące szczegóły, usprawiedliwiające wzburzenie Armeńczyków sassuńskich: Wedle tego źródła komendant wojsk tureckich rozrzuconych w okręgu Musz, Alai bey wezwał armeńską ludność górską w okolicy Sassunu, aby opuściła swoje zaopatrzone przeciw napadom siedziby i osiedliła się w nizinie. Równocześnie wysłał do Sassunu kilku inżynierów i budowniczych w asystencyi 500 żołnierzy z poleceniem wzniesienia na trzech punktach po nad niziną sassuńską obwarowanych koszar. Ludność armeńska stawiła zacięty opór, została atoli pokonaną, poczem rozpoczęła się z wielkim pospiechem budowa projektowanych koszar.

Armeńczycy upatrują słusznie w tych koszarach nowe dla nich niebezpieczeństwo, odtąd bowiem będą oddani na łaskę i niełaskę Turków i Kurdów. Znaczna część wypartych ze swych dawnych siedzib Armeńczyków zorganizowała się w zbrojne oddziały i rozpoczęła formalną partyzantkę z wojskiem tureckiem. Ostatnie wypadki w Armenii wywołały podobno silne zaniepokojenie w pałacu sułtańskim i w rządzie tureckim. Minister wojny polecił komendantowi czwartego korpusu w Erzindgian, marszałkowi Zeki baszy, aby wysłał bezzwłocznie ośm batalionów do Muszu i starał się jak najrychlej opanować ruch rewolucyjny.

Jednocześnie, jak telegrafują z Konstantynopola, wystosowała Turcya na wyraźny rozkaz sułtana do wszystkich gubernatorów okólnik, nakazujący im sprawiedliwie postępować w obec całej ludności bez różnicy rasy i religii. Powinni zapobiegać wszelkim zakłóceniom porządku, żywioły bowiem rewolucyjne pragną skorzystać z tych rozruchów, celem zagrożenia publicznemu bezpieczeństwu. Należy dalej unikać niesprawiedliwych prześladowań i postępować zgodnie z ustawami. Urzędnicy, nie działający w myśl tych zasad, będą surowo karani.

D. S.

Z blizka i z daleka.

„Zalecamy ostrożność przy pisaniu listów prywatnych, zwłaszcza w omawianiu spraw politycznych“ — taką przestrogę niedawno umieszczał stale socyalistyczny „Vorwärts“ berliński, dając tem do zrozumienia, że w Prusach nie bywa szanowana tajemnica listowa. Do tego zapatrywania istotnie uprawniałby epizod, który rozegrał się w toku badań w toruńskim procesie młodzieży. Jako jeden z obciążających dowodów figurował w rozprawie sądowej list oskarżonego Henryka Orszuloka do jednego z kolegów. Kolega ten zeznał przed sądem, że listu tego ani nie zna, ani wogóle go nie otrzymał od Orszuloka.

Wobec tego Orszulok zapytał prokuratora, jakim sposobem list ten dostał się do akt śledczych, gdyż on, Orszulok, wysłał list ten jako rekomendowany, za recepisem, adresat go nie otrzymał, a list znalazł się w rękach pruskich policyantów.

Wymowne milczenie było odpowiedzią na to pytanie podsądnego. Odkąd „huzar“, pan von Podbielsky, został dyrektorem poczt niemieckich, zapomniano, zdaje się, o tem, co przepisuje § 354 kodeksu:

„Urzędnik pocztowy, który otwiera listy lub paczki, oddane urzędom pocztowym, w innym jak prawnie określonym przypadku... podlega karze więziennej nie niżej 3 miesięcy.“

Bezprawne otwieranie listów, mianowicie z adresami polskimi, jako niby to niedoręczalnych, jest niestety dziś na porządku dziennym. Tak to ponad głowami obywateli polskich i z ich szkodą podają sobie ręce władze policyjne i władze — pocztowe. A listy? — A któżby tam dbał o to, że ten lub ów list nie dojdzie: hakatyzm przedewszystkiem!

* * *

W najnowszym numerze miesięcznika literackiego i społecznego „Krytyka,“ wychodzącego obecnie w Krakowie, znajdujemy ciekawy, choć nie nazbyt głęboki artykuł p. t. „Nowa era w polskim ruchu socyalistycznym zaboru pruskiego“. Autor artykułu, którym się jeszcze szczegółowo zajmiemy, sam socyalista, widzi tylko dla socyalistów wśród naszego społeczeństwa olbrzymie pole i zakres działalności. Różowe nadzieje swe uzasadnia rozmaitymi ciekawymi szczegółami z najnowszego ruchu socyalistycznego u nas. —

* * *

Budzi się duch polski na Slązku! Widać to z różnych objawów, mianowicie z większego oporu przeciw germanizacyi, z większej chęci do nauki polskiej, z lepszego dopilnowania dzieci przystępujących po raz pierwszy do sakramentów św., z żywszej obrony praw języka polskiego w kościele i w życiu publicznem. Z Lipin donoszą, że tam w tym roku zgłosiło się z pomiędzy 700 dzieci przygotowujących się do spowiedzi św. 550 dzieci na polską naukę.

* * *

Jak nam donoszą z kół naszych czytelników, w Wanne, miejscowości, w której zamieszkuje znaczna liczba Polaków, proboszcz, Niemiec, usunął z kościoła chorągiew polskiego Towarzystwa św. Józefa w Wanne z powodu, że nie wybrano go na prezesa Towarzystwa, ponieważ chciano zachować polski jego charakter. Rozgoryczenie wśród miejscowych Polaków jest z powodu tego wielkie, bo wszystkim tutejszym Towarzystwom katolickim wolno brać udział z chorągwią w uroczystościach kościelnych, a tylko wspomnianemu polskiemu katolickiemu Towarzystwu nie wolno z chorągwią przestąpić bramy kościoła.

To też sprawiedliwość — hakatystyczna!

* * *

Nowego wroga odkryła świeżo wszechwiedza hakatystów, a wrogiem tym — jak piszą „All. Blaetter“ — jest *chłop polski*:

„Polski chłop jest największym wrogiem. Póki jednak nie zdobędziemy się na poszczególne (t. j. wyjątkowe) prawodawstwo, które zabroni Polakom nabywania ziemi, nie potrafimy przeszkodzić wzmacnianu polskiego stanu włościańskiego“.

Ze ziemia naszych włościan-rolników smakowała by hakatystom, wcale o tem nie wątpimy. Ale nasi włościanie ziemi tej ojczystej oburącz się trzymać będą.

* * *

Nowe wybory na posła do sejmu i do parlamentu mają się odbyć w okręgu olsztyńsko-reszelskim, ponieważ dotychczasowy poseł ks. kanonik Hermann mianowany został biskupem-sufraganem. Wybory te bezwątpienia wywołają znowu zatarg pomiędzy centrowcami a Polakami. W r. 1898 posłem z tego okręgu był Polak, potem zaś objął mandat ks. dr. Hermann, Niemiec-katolik.

Prosimy czytelników, aby nam donieśli, jakie charakterystyczne szczegóły z przeszłych wyborów należy uwydatnić, ponieważ sprawie tej poświęcimy obszerne osobne omówienie.

* * *

Wszystkich tych czytelników naszych, którzy do nas pisują korespondencye i w stałej styczności z redakcyą pozostają, prosimy, aby przy zmianie adresu podawali swój nowy adres.

* * *

Znany czytelnikom naszym ks. Dr. Stephan, dawniej z Weissensee, obecnie w Berlinie, znowu rozsyła po całem Księstwie i Górnym Śląsku jakieś wezwania o nadsyłanie składek. W tym celu sprzedaje jakieś tam kalendarzyki, i to na r. 1901, spóźnienie to jednak obiecuje wynagrodzić w ten sposób, że „za wszystkich, co kupią kalendarz, co piątek przez cały rok odprawiana będzie msza św.“

Uważamy za rzecz wysoce nietaktowną, że ks. Dr. Stephan łączy kolportaż przestarzałych kalendarzyków z ofiarą mszy św., a za wady i braki swych wydawnictw ofiaruje prawdziwie po kupieku, na dodatek — mszę świętą. Lepiejby było, aby sprawę kalendarzyków ks. Dr. Stefan zapisał na osobne konto, a msze na osobne. Przytem nadmienia w swej odezwie ten kapłan, że chce się opiekować 60 tys. Polaków w Berlinie, i że „jest sam.“ Ponieważ widocznie nie zna dobrze lokalnych warunków, radzimy, aby się raczył skomunikować z komitetem Towarzystw polskich w Berlinie. Ks. Dr. Stephan zbyt wielkimi względami się cieszy u kardynała Koppa, aby Polacy berlińscy tak znowu bez zastrzeżeń zrzygnowali z dotychczasowego dorobku swej pracy społecznej i poddali się bez wahania pod jego „opiekę.“

Możemy zapewnić, że na składki nasi Polacy teraz już i na Śląsku i w Poznańskiem nie są tak skorzy.

* * *

„Kuryer Poznański“ zapowiada, że niebawem zacznie drukować najnowszą powieść Sienkiewicza „Sobieski pod Wiedniem.“ Powinszować można zapobiegliwej redakcyi, która nie szczędząc starań i kosztów, umie pozyskać dla swych łamów utwór pióra takiego mistrza, jakim jest nasz Henryk Sienkiewicz. *Z.*

Z TYGODNIA.

Poznań, 24 września.

Oczy całego świata były w zeszłym tygodniu zwrócone na Francyę. A było też na co patrzeć! Otóż car rosyjski, możny władca północy, przybył wraz z małżonką w gościnę do kraju, który dumny z takiego sojusznika, urządzał mu na każdym kroku owacye, mające źródło w niekłamanem uczuciu radości. A radość ta przebijała się i w huku armat i w przemowach powitalnych i w tysiąckrotnych okrzykach rozentuzyazmowanego tłumu.

Car nieomieszkał też zaznaczyć, iż chętnie odwiedza sprzymierzeńca, zachowującego wierną przyjaźń dla Rosyi, a gdy po manewrach pod Reims z uznaniem wyraził się o postawie wojennej armii francuskiej, do reszty podbił serca łechtliwych na tym punkcie Francuzów.

Spotkanie cara z prezydentem rzeczypospolitej francuzkiej, Loubetem, było nacechowane niekłamaną serdecznością i odmienne wywarło wrażenie na świat polityczny od spotkania z cesarzem Wilhelmem pod Gdańskiem, które będąc tylko aktem grzeczności czysto familijnej, nie miało głębszego znaczenia politycznego. We Francyi natomiast zadokumentowano wobec całego świata sojusz obojga mocarstw, dzierżących w swem ręku rozstrzygnięcie pokoju lub wojny.

Jakie będą następstwa tego spotkania, nie wiadomo, ale to pewnem, że Niemcom nie jest ono sympatycznem. To też dzienniki niemieckie starają się osłabić doniosłość odwiedzin carskich w Francyi i z przekąsem wyrażają się o przyjaźni rzeczypospolitej z samowładczą Rosyą. Czynią one to li tylko z zazdrości, że Francya, odwieczny wróg Niemiec, umiała pozyskać przyjaźń mocarstwa, które może jej być pomocnem do odzyskania zabranych w r. 1870/71 prowincyj — Alzacyi i Lotaryngii.

Car, konferując z ministrami francuzkimi, nie pominął zapewne sposobności omówienia sytuacyi na Bałkanie i porozumiał się z nimi, jaką postawę ma zająć Francya, gdyby Rosya zamierzała rozpocząć akcyę zaczepną wobec Turcyi. Przy tej sposobności może też Francya przyszłaby wreszcie do swych pieniędzy.

Zatarg francuzko-turecki bowiem dotąd nie został załatwiony i rzeczpospolita chwyta się różnych sposobów, celem przyspieszenia tej sprawy. Tak np. minister Delcasse celem wywarcia należytej presyi na Turcyę chce poruszyć sprawę armeńską. Przyjął on w tych dniach dziennikarza Piotra Ouillarda, wydawcę czasopisma „Pro Armenia,“ który wręczył mu program reform dla prowincyi Armenii tureckiej.

Ze Stambułu odbierają dzienniki niemieckie wiadomość, że rozruchy w Armenii tureckiej*) przeciw tamtejszej ludności chrześciańskiej, o której głuche tylko nadchodziły wieści, były o wiele straszniejsze, niż można było sądzić z pierwszych doniesień. W Musz wyprawili kurdowie formalną rzeź. Pod ich jataganami padło mnóstwo mężczyzn, kobiet i dzieci. Władze starały się zapobiedz tym okropnościom, jednakże bez skutku. Z polecenia sułtana, wali z Bitlisu na czele kilku batalionów wojska regularnego udał się na miejsce krwawych wypadków, celem wyśledzenia i ukarania winnych, oraz zabezpieczenia ludności chrześciańskiej.

W Ameryce południowej przyszło do wojny między republiką Wenezuelą a Kolumbią. Riohacha, miejscowość na wybrzeżu północnem Kolumbii, bombarduje już flota wenezuelska. Brzmi to strasznie, lecz w gruncie rzeczy nie znaczy to wiele, albowiem flota wenezuelska liczy wogóle cztery okręty, z których jeden tylko, zakupiony w Hiszpanii stary krążownik torpedowy, zasługuje jako tako na miano okrętu wojennego. Załoga wszystkich tych statków składa się z jednej kompanii piechoty marynarskiej, liczącej niespełna stu ludzi, — siła wcale nie imponująca.

Gorzej jeszcze przedstawia się siła wojenna Kolumbii, która trzy tylko mogła stawić do boju okręty. O co właściwie obie republiki się biją, trudno zrozumieć wobec zagmatwanych stosunków politycznych w Ameryce południowej. To pewno, że wielkiej krzywdy obie sobie nie zrobią, już nawet dlatego, że próżnia w kasach obu państw wnet ochłodzi gorączkę wojenną.

Inaczej przedstawia się wojna w Afryce południowej. Tam Burowie coraz więcej gnębią Anglików, mając nadzieję, iż wreszcie odniosą zwycięztwo. Lord Kitschener donosi, że trzy kompanie konnej piechoty z trzema armatami, pod wodzą majora Gough, które rekognoskowały teren na południe od Utrechtu, napotkały na około 700 Burów, którzy odkulbaczali konie. Okazało się to fortelem, a cały manewr zasadzką. Anglicy starali się natychmiast zająć pozycyą na wyżynie, lecz Burowie, którzy do tej pory byli w znacznej liczbie, zaatakowali Anglików z frontu i z prawej strony. Po zaciętym boju pokonano Anglików, którzy stracili swe armaty, dwóch oficerów i czternastu szeregowców. Pięciu oficerów i 25 szeregowców odniosło rany, a pięciu poruczników z 150 podwładnych im żołnierzy wpadło w ręce Burów. Lecz major Gough i inny oficer zbiegli pod osłoną nocy. Burami dowodził generał Botha z siłą tysiąca ludzi. Lord Kitschener dodaje, że posyła posiłki gen. Littleton, którego oddział znieśli Burowie w sposób powyżej opisany.

O innej jeszcze utarczce donosi Kit-

*) Patrz artykuł p. tyt. „Kwestya armeńska.“ — Przyp. Redakcyi.

chener na podstawie gen. Frencha. Dowódzca Burów Smuts, chcąc wydobyć się z pierścienia okalających go wojsk angielskich, uderzył pod Elandsriverport, w pobliżu Tarkastad, na szwadron ułanów. Chcąc wywieść w pole Anglików, Burowie przywdziali się w szaro-żółte uniformy angieskie z materyi zwanej w indyjskim narzeczu „khaks.“ Padło trzech oficerów i dwudziestu innych ułanów, lecz i Burowie odnieśli dotkliwe straty. Czy Smutsowi udało się wydobyć z koła Anglików telegram nie donosi.

W Afryce więc toczy się bój zażarty, krwawy, o wolność polityczną, a u nas wrze walka cicha, niekrwawa, a mimo to zażarta. Wszelkie zapędy Polaków, celem zachowania języka ojczystego uchodzą za dążenia rewolucyjne, jak dowodzi proces toruński, którego wynik przekpiwają niezależne od rządu gazety niemieckie. I tak „Berliner Ztg.“, omawiając rzekome niebezpieczeństwo dla Prus ze strony małoletnich gimnazyastów polskich, na taki zdobyła się wykrzyknik: „Noch ist Preussen nicht verloren, denn noch giebt es Richter in Thorn...“

S. Wcz.

PRZEGLĄD PRASY.

Ta sama moralna porażka, jaka spotkała rząd pruski w procesie gostyńskim, jaka go spotka bezwątpienia z powodu zajść we Wrześni i w Dobrzycy, spotkała też władze pruskie i w procesie toruńskim. Nawet niemiecka i to hakatystyczna prasa nie może zataić, że proces młodzieży w Toruniu laurów rządowi nie przyniósł. Hakatystyczny „Tag“ pisze:

„Rozprawy w Toruniu skończyły się. Pozostawiają one przykre wrażenie. Toż w całym szeregu przypadków potwierdzono zapatrywanie prokuratora przez skazanie oskarżonych na krótkie kary więzienne; — ile ztąd odpadnie jeszcze w instancyi apelacyjnej, to należy jeszcze odczekać. Ale mimo to ten obserwator, który jest wolny od wszelkiego uprzedzenia w obec Polaków, zachowa uczucie, że tutaj bardzo niepotrzebnie i bardzo niedyplomatycznie strzelano z armat do wróbli. Historyą niemądrych chłopaków rozdmuchiwano dopóty, dopóki nie wyglądała na zbrodnię polityczną i przez to wytworzono nadzwyczaj wiele złej krwi. Czego było potrzeba? Młodzi ludzie są skłonni do radykalizmu, nawet chociaż są konserwatywni. Wtenczas są właśnie konserwatywnymi zapaleńcami. To pochodzi z ich młodości. Widzą tylko cel, ale nie drogę do celu i nie mogą mieć jasnego wyobrażenia o powolności tempa rozwoju i względności wszelkich wartości. O tem powinnoby się wiedzieć właśnie w Niemczech, których najzdolniejsi mężowie stanu, Bismarck i Miquel, z wiekiem doszli do mniej więcej tego samego stanowiska, jakkolwiek jeden był pierwotnie ultrajunkrem, albo mówiąc modernistycznie, nadjunkrem, a drugi organizatorem komunistycznych banków chłopskich i uzbrojonym krzykaczem przeciw parlamentowi niemieckiemu. Sekundanerzy i prymanerzy powinni mieć trochę szalonej romantyczności w sobie, inaczej jako dojrzali mężowie będą zakamieniałymi filistrami. A więc najprawdopodobniej oprócz literatury i historyi polskiej, pielęgnowali także nadzieję odbudowania Królestwa Polskiego. Dajmy na to! Ale czyż państwo pruskie tak jest słabe, aby musieć denerwować się takiemi dziecinnemi mrzonkami? Czy niebezpieczeństwo było tak naglące, że trzeba było tworzyć męczenników? Jeżeli w skazanych malcach tkwi choć odrobina siły, natenczas będą oni odtąd na całą przyszłość zaciętymi wrogami pruskiej idei państwowej; gdyby ich się było poprostu wydrwiło, byliby w takim razie prawdopodobnie przy większej dojrzałości, doko nali zwrotu i byliby dobrymi obywatelami. W starych legendach ludowych sprowadza zwykle zagrożony przepowiednią spełnienie tejże właśnie przez to, że stara się temu zapobiedz — Laios i Edyp itd. — Państwo pruskie postępuje tak samo w kwestyi polskiej.“

W związku z procesem poznańskim młodzieży, oraz z ukończonym świeżo procesem toruńskim zaczynają się w prasie polskiej raz po raz pojawiać wiadomości o „stronnictwie narodowo-demokratycznem“, które i w Poznańskiem ma swych zwolenników, zwłaszcza pomiędzy młodem pokoleniem. Odkładając omówienie rozmaitych publikacyi organów tego stronnictwa do osobnego zasadniczego artykułu, przytaczamy interesujące uwagi, jakie — w związku z procesami młodzieży poświęca wydawany przez duchowieństwo „**Dwutygodnik katechetyczny**“ pismom dla młodzieży, wychodzącym we Lwowie — „Tece“ i „Promieniowi:“

„Teka“ jest organem stronnictwa (?) narodowo-demokratycznego, które za pomocą tego pisma usiłuje wpływać na młodzież. Stronnictwa tego nie należy utożsamiać z żadną partyą polityczną w Galicyi. Powstało ono w roku 1886 pod zaborem rosyjskim, w celu przeciwdziałania polskiej polityce ugodowej we wszystkich trzech zaborach, a nawiązywania do idei narodowych z roku 1863. Publicznym wyrazem dążeń stronnictwa był tygodnik „Głos“, który od 1. października 1886 zaczął wychodzić w Warszawie. Z powodu cenzury wyrażał się „Głos“ o polityce oględnie, każąc raczej czytać między wierszami, a natomiast występował z artykułami treści naukowo-ekonomicznej i domagał się, aby interesy wszystkich klas społecznych podporządkować interesom ludu. Nie brakło tam i prac pokroju socyalistycznego. — —

„Teka“ odzwierciadla w sobie myśli przewodnie tego stronnictwa, więc jest liberalną pod względem religijnym i niechętną Kościołowi katolickiemu, jest przeciwną socyalizmowi na polu ekonomicznem i politycznem, a żąda od młodzieży pracy nad własnem wykształceniem, wskazując podręczniki barwy pozytywistycznej, żąda też poświęcenia się dla Ojczyzny. W łamach pisma znaleść można zatem wiele artykułów i korespondencyj ze wszystkich trzech zaborów, najlepszym duchem ożywionych, ale nie brak też zjadliwych wycieczek na Kościół katolicki, na religię i katechetów.

„Za zasługę poczytać należy „Tece“ pogłębianie ducha narodowego, a ostrzeganie przed socyalizmem, natomiast bałamutnem i mylnem jest hasło, że dla Ojczyzny wszystko poświęcać należy, bo to „wszystko“ nie powinno nigdy obejmować Boga, sumienia i honoru.

„Kto pojęcie Ojczyzny uważa za coś wyższego nad wszelkie inne normy, czyli po prostu ubóstwia, ten z przepięknej cnoty miłości Ojczyzny gotów w danym razie zrobić coś monstrualnie wypaczonego, gotów posunąć się nawet do zbrodni, hańbą i wstydem okrywającej naród. Nie wiemy np. czy i o ile sprawcy zamachu okocimskiego byli czytelnikami „Teki,“ ale sądzimy, że ich krok fatalny powinien być dla „Teki“ przestrogą, jeśli rzeczywiście — a w to wierzymy — Ojczyźnie przysłużyć się pragnie. Hasła dawnych filaretów, jak miłość Boga i cnoty, miłość Ojczyzny i pracy — mogą i powinny wejść na seryo w program młodzieży patryotycznej, a ustrzegą ją od wykolejenia.

„Promień“ wywiesza sztandar socyalistyczny, lecz przemawia również w imię patryotyzmu, twierdzi, że „partya robotnicza prowadzi dalej dzieło demokratów z 1846 roku“ (str. 189). Smielszy, bo radykalniejszy, usiłuje rozwinąć żywszą akcyę, o czem świadczą zjazdy maturzystów, urządzone w trzech latach ostatnich. Zaleca wydawnictwa socyalistyczne, wytyka chwiejność i połowiczność „Tece,“ a na księży powstaje zacięcie. Chwali się współpracownictwem młodzieży szkolnej ze wszystkich zaborów. Nęci młodzież przedewszystkiem hasłem „postępowości“, co i „Teka“ w polemice swojej mimowoli przyznaje. Najwięcej zwolenników stosunkowo ma mieć wśród młodzieży żydowskiej.“

Uwagi powyższe zapewne są nieco zabarwione jednostronnem zapatrywaniem na życie młodzieży, wobec skąpych jednak publikacyi o politycznej stronie życia młodego pokolenia rzucają się odrazu w oczy nie w jednym zresztą punkcie pobudzając do zapatrywań sprzecznych z wyrażonemi.

W Krakowie odbył się w zeszłym tygodniu zjazd przemysłowy. Obok innych spraw ogólniejszego znaczenia omawiano na nim sprawy specyalnie galicyjskiego przemysłu. Na uwagę zasługuje odczyt p. Michała Kornelli o „drogach wodnych“, znaczenie których, zwłaszcza wobec zamierzonej budowy kanałów i regulacyi rzek w Galicyi, podnosił prelegent gorąco. Za „**Dziennikiem Zjazdu przemysłowego**“ podajemy treść tego przemówienia:

„Kraj nasz ekonomicznie zaniedbany, o niekorzystnem położeniu geograficznem, bo oddalony od morza i centrów konsumcyjnych, podźwignąć mogą znakomicie z upadku drogi wodne, które go zbliżą do europejskich rynków zbytu i otworzą wszechświatowe targi dla płodów surowych.

„Tani przewóz produktów podniesie wartość ziemi ornej i lasów, zachęci rolników do intensywniejszego gospodarstwa, przyczyni się do rozwoju melioracyi

rolnych. Tania siła wodna, jaka będzie do dyspozycyi w wielu miejscach, przy śluzach komorowych, skłoni przedsiębiorców do założenia całego szeregu mniejszych zakładów przemysłowych, — tani dowóz węgla ułatwi powstawanie fabryk we wschodniej części kraju, a tani dowóz buraków usunie trudności, na jakie natrafiają świeżo powstające w kraju cukrownie przy pozyskiwaniu plantatorów buraków cukrowych w najdalszej okolicy.

„Drogami wodnemi kraj nasz będzie eksportował głównie drzewo, zboże, ropę naftową, kamień, żwir rzeczny, glinkę ogniotrwałą i garncarską, wapno, gips i t. p., będzie zaś importował węgiel i nawozy sztuczne, a w miarę rozwoju przemysłu rudy kruszcowe i inne płody surowe.

„Przy tanim przewozie drogami wodnemi, wartość naszych lasów, które zajmują 25.79 prc. powierzchni całego kraju (t. j. 3,516.683 morgów), podniesie się przynajmniej w dwójnasób. Taryfy kolejowe są obecnie tak wysokie, że produkty surowe nie wytrzymują dalekiego transportu.“

W Zjeździe brało udział kilku przemysłowców polskich z Księstwa. Ogólne wrażenie Zjazdu było wyborne.

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Nadrenia.

(Polacy w Borbeck i Dellwig.)

Smutno było tu na obczyźnie, w niemieckich prowincyach, Westfalii i Nadrenii, póki jeszcze nie było Towarzystw katolicko-polskich. Mniej więcej przed 20 laty nie było jeszcze wówczas kolonii polskich, a była tylko mała garstka Polaków tu i owdzie rozrzuconych i otoczonych zewsząd Niemcami. Polacy nie śmieli jeszcze wtedy publicznie jako tacy wystąpić. W owych czasach niejeden Polak się zniemczył i pojął sobie za żonę Niemkę. Wreszcie założono w Bochum pierwsze Towarzystwo katolicko-polskie pod opieką św. Barbary. Później powstały w różnych miejscowościach Westfalii i Nadrenii Towarzystwa polskie. — Wreszcie ku wielkiej radości rodaków na obczyźnie zaczęło wychodzić pismo polskie pod tyt.: „Wiarus polski“, które pismo zachęcało jeszcze więcej rodaków, aby się łączyli w Towarzystwa. Potem powstały liczne Koła śpiewackie, później Towarzystwa przemysłowe i gimnastyczne, a nawet w niektórych miejscowościach założono Towarzystwa różańcowe Polek. Niechcąc się jednak dłużej o innych miejscowościach rozwodzić powracam do Borbeck i Dellwig. W roku 1891 założono w Borbeck Towarzystwo katolicko-polskie pod tytułem św. Józefa, które liczy jeszcze mało członków, gdyż w tej parafii mieszka około 2000 Polaków.

A w owem wyżej wspomnianem Towarzystwie nie ma ani 100 członków. W Dellwig założono Towarzystwo polskie pod opieką św. Barbary w roku 1898, które Towarzystwo, chociaż jeszcze nie długo istnieje, liczy przeszło 100 członków i coraz bardziej się rozwija, chociaż z początku miało twardy orzech do zgryzienia, a i dziś jeszcze nie chodzi po różach, a wszystkie te przykrości musiało owo Towarzystwo od własnych rodaków ponosić. Owe wyżej wspomniane Towarzystwa urządzają kilka razy do roku zabawy z teatrem amatorskim, na których można się prawdziwie po polsku zabawić.

Otóż z 2000 Polaków jest zaledwie 200 w polskiem Towarzystwie, a inni albo wcale nie należą do Towarzystw lub błąkają się po niemieckich *„vereinach“*, bo powiadają, że tam jest wszystko *„fein.“* Jest także wiele takich rodaków, którzy się wstydzą Towarzystwa polskiego, niektórzy znowu, którzy się nazywają dobrymi Polakami, kształcą swe dzieci po niemiecku i tylko w tym języku do dzieci się odzywają. A niektórzy wstydzą się nawet mówić w języku polskim, w tym języku, w którym jest tylu świętych, którym tylu sławnych królów polskich mówiło, w tym języku, w którym tylu sławnych poetów napisało tak piękne dzieła.

Nie ma się więc czego wstydzić, ale możemy się chlubić, że należymy do narodu, który tak wielu świętych, uczonych i sławnych mężów wydał. Z wielką dumą możemy patrzeć na naszą przeszłość, i na naszych przodków, którzy pod murami Wiednia biją Turków, gdzie obronili całe chrześcijaństwo od mahometanizmu. Gdyby nie owi dzielni bohaterowie, toby dziś może na wieżach naszych kościołów w miejscu krzyża półksiężyc widniał.

Więc bracia rodacy! Na obczyźnie nie wstydźmy się naszej pięknej mowy polskiej, ale ją wszędzie, gdzie się tylko sposobność nadarzy, brońmy i rozpowszechniajmy, a da Bóg mowa polska na obczyźnie nigdy nie zaginie.

Smutno tu było w Borbeck przed rokiem, gdyśmy jeszcze nie mieli kapłana mówiącego po polsku, gdyż zaledwie 3 razy do roku przybywał ksiądz po polsku mówiący, aż wreszcie jeden z księży tutejszych widząc naszą nędzę, zlitował się nad nami i pragnął się nauczyć po polsku, w tym więc celu udał się do Poznania, gdzie się nauczył po polsku. Wróciwszy po kilkumiesięcznem ćwiczeniu się — pracował bardzo pilnie — głosił kazania — słuchał spowiedzi i wszędzie służył radą i pomocą, lecz niedługo przebywał między nami, w niedługim bowiem czasie ciężko zachorował i umarł. Ale nowy ksiądz proboszcz pisał zaraz do arcybiskupa kolońskiego, aby jeśli będzie kapłan po polsku mówiący, to prosił, aby mu go przysłał i niebawem powrócili dwaj kapłani, którzy się po polsku nauczyli, a jeden z nich został dla nas przeznaczony i teraz dwa razy w miesiącu będzie się odprawiało polskie nabożeństwo z kazaniem. Czy tej obietnicy nam dotrzymają, Bóg to raczy wiedzieć. — Z najlepszem polskiem pozdrowieniem

Czytelnik „Pracy.“ *M. K.*

* * *

Niemiecka Lutynia. (Ślązk austr.)

Szanowna Redakcyo „Pracy!“

Niedawno do naszej gminy zawitała „Praca“, a już pozyskała sobie serca nasze swem otwartem postępowaniem przeciw pruskiemu wynarodowieniu. Rozchodzą się Prusacy już i po naszym Ślązku cieszyńskim, skupują grunta, stawiają fabryki. W Boguminie jest już kilka takich fabryk, a dyrektorowie sprowadzili do nich robotników niemieckich. Dopiero gdy dawny dyrektor uciekł do swego „Reichu“, gdyż mu groził proces o dopuszczenie się gwałtów na nieletnich dziewczątkach, następca jego spuścił już z tonu i nie jest tak zażartym polakożercą. — Coraz to częściej i gęściej widać u nas pruskie *pikelhauby*; widocznie chcą nas już do pruskiego porządku przyzwyczaić. Może i my w niedługich czasach będziemy śpiewali „Heil dir im Siegerkranz“, — od czego nas Boże uchowaj!

Co do naszej gminy, leży ona w połowie drogi z Frysztata do Bogumina i jest dotychczas czysto-polską. Do niedawna mieliśmy czeską szkołę, która tu po polskiej nastała, ale dzięki dzielnemu proboszczowi Żmijce, wójtowi Szywale i innym szlachetnym ludziom zmieniła się znów na polską. Teraźniejszy proboszcz Dziekan, człowiek energiczny, oczyścił kościół z czeskich naleciałości, a piękny i wzorowy porządek na cmentarzu i w kościele, jakoteż piękne napisy w poprawnej polszczyźnie są jego dziełem. Pracuje on i poza kościołem jak n. p. w „Kółku rolniczem“ oraz w „Czytelni“. Ta ostatnia jednak z powodu gnuśności i opieszałości słabo się rozwija. — Mamy tu czteroklasową szkołę, a gdyby nie wrogi zarząd gminy, złożony z renegatów i ospalców przekupnych, moglibyśmy mieć już i szkołę siedmioklasową. Mamy polskich nauczycieli, dobrze prosperującą kasę Reifeisenowską, związek weteranów wojskowych, straży pożarnej, kółko drenarskie i amatorskie. — Do parafii lutyńskiej należą gminy: Skrzeczoń, Wierzniowice i polska Lutynia, razem 7,600 dusz. Gmina nasza ma pocztę i telegraf, kilka pięknych budynków, jak n. p. nowa apteka, jest i lekarz, tylko brak nam rzeki, która o godzinę drogi ku Prusom przez Wierzniowice płynie. Jest też u nas niestety spora liczba gospód i sklepów, ale sprzedającymi są przeważnie żydzi. Oprócz wroga niemieckiego w naszym wydziale gminnym, walczymy z mową czeską, którą tu wprowadzili czescy inżynierowie, urzędnicy z kopalni fabryk z Czech. Zaiste walka pomiędzy temi dwoma bratniemi szczepami toczy się jeszcze najbardziej o szkołę, kościół i zarząd gminy, w Dąbrowej, Łanach, Rychwałdzie, ale lud polski coraz oświatą zwycięża na całej linii i zrzuca cudze jarzmo. Jeszcze dzisiaj starzy Ślązacy, którzy wyszli z czeskiej szkoły powiadają, że mowa ich jest morawska, ale młode pokolenie już się z tego śmieje.

Czytamy pilnie „Pracę“ w Czytelni, a serca nasze są zwrócone ku wam, piersi nasze rozpiera uniesienie — słysząc o waszych wysiłkach nawet u dzieci i kobiet. „Wytrwałości,“ wołamy wam bracia przez kordon!!

Pilny czytelnik „Pracy“.

POD PŁOWCAMI.

(Dnia 27 Września 1331 roku.)

Było to w roku tysiącznym trzechsetnym
Trzydziestym pierwszym — a za Władysława,
Króla polskiego, co lśnił męztwem świetnem;
Duch to potężny, Krzyżaków obawa!
Lecz dumny Krzyżak ufny w pomoc innych,
Najechał Polskę i szerzył pożary,
Lał krew bezbronnych i dziatek niewinnych,
Łupiąc, mordując bez względu i miary.

Jak czarne chmury pod niebios stropami,
Zazdroszczą ludziom błękitu i słońca,
Tak za dzikiemi Krzyżaków hordami
Nie przejrzysz kłębów pożogi do końca.
A w ciemnych nocach nad Warty brzegami,
Morze płomieni rozlewa krwi blaski,
Płacz a jęk straszny dzieci z niewiastami,
Słyszą tak noce, jak dni, zmroki, brzaski.

Lecz zkąd w postępach hersztów pewność taka,
Złodziejska grabież, krwi rozlew zawzięty?
Bo na swym czele mają — och! — Polaka,
Bo im przewodzi z Szamotuł Wincenty,
Były starosta Wielkopolskiej ziemi,
Zdrajca sromotny swej własnej Ojczyzny!
Pochody za nim — szlakami krawemi
Zadają Polsce przebolesne blizny...

Nikną wsie, miasta, a ziemia krwią zlana,
Świątynie Boże ot, świecą pustkami!
Złupiona odzież z niewiast, chłopka, pana,
Nic nie ostało się przed Krzyżakami!
Piekielne hordy, jako zbójów zgraja,
Szerzy zniszczenie mordem i pożogą!
Krwią i jękami dusze swe rozpaja,
To dnia weselem, to noc czyni błogą!

„Dalej zakonie! hej, nad brzegi Warty!
Tam w Pyzdrach siedzi, co mi wydarł władzę!
— Taką zachętą brzmi zdrajca zażarty —
To królewiątko ja wam tu sprowadzę!
Poznasz Łokietku, co to pan Wincenty!
Któregoś zsadził z poznańskiej stolicy,
Jeszcze po synka, a w pokorze świętej,
Przyjdziesz z pokłonem do mojej prawicy!“

I zbójów tłuszcza z radości zawyła,
Mknąc przez Kujawy przyspieszonym biegiem,
Po drodze wszystko morderczo niszczyła,
I tak stanęła aż nad Warty brzegiem,
Kędy Kazimierz miał w Pyzdrach schronienie.
Tam więc natarto w lot, bez straty czasu,
Ale królewicz miał już ostrzeżenie,
I szybko ubiegł do blizkiego lasu.

Rozbójcza zgraja morduje mieszkańce,
A całe Pyzdry płomieniem zabłysły!
I śpiesznym zwrotem wracają szatańce
Tam, zkąd tu przyszli, po za brzegi Wisły.
A tu już mistrze Krzyżaków zakonu,
Gromadzą siły w ogromnym zakroju,
By Polskę przywieść czemprędzej do zgonu,
W strasznym, morderczym a śmiertelnym boju.

Z nowemi siły krzyżackie te hordy
Z naczelnikami ruszyły znów w drogę,
Paląc, rabując, popełniając mordy,
W całem Łęczyckiem w kół szerząc pożogę!
Złupiono Gniezno, Nakło, Pobiedziska,
Żnin, Kłecko, Kostrzyn, Sieradz i Uniejów,
Konińska strona potokiem krwi tryska!
Och, wieki całe nie zmyją tych dziejów!

Zbiera się szlachta Wielkopolskiej strony,
Wyrzyna spiesznie rów od brzegów Warty
Do Zaniemyśla; wodą napełniony
Wstrzymał morderców. Wszczął się bój zażarty!
Tymczasem szlachcie na pomoc przybywa
Niewielki hufiec nadwornych rycerzy,
Zbójecka horda kałużą krwi spływa!
I w większej części bez ducha w niej leży.

A król Władysław, choć starość go gniecie,
Dosiada konia i rycerzy zbiera:
Tam niespodzianie oddział wraży zmiecie,
Tu znów im łupy lub jeńców odbiera.
Następnie szczęścia z Wincentym próbuje.
Tajemną drogą śle posły do niego,
Każe powiedzieć: wszystko mu daruje,
Byle Ojczyźnie nie mnożył już złego.

„Pomnij, starosto, domu twego dzieje!
Pomnij twą młodość i wierność Ojczyznie!
Spojrz na pożogi i krew co się leje,
Powiedz, co powiesz kiedyś swej siwiźnie?...
Bóg może pomsty poszukać w starości,
Z krzywd twej Ojczyzny! — więc niech cię nie łechce
Zemsta nie słuszna, powstała ze złości,
Boć król dać może swoje komu zechce!“

I pan Wincenty zmiękł na głos Ojczyzny,
I postanowił zaprzestać swej zdrady,
Oddać się Polsce i zagoić blizny,
Z pokorą przybył do króla do rady.
„Choć — rzekł — Krzyżaków tłum nieprzeliczony,
Lecz każdy teraz swym łupem zajęty,
Nagle naparty, będzie zwyciężony,
Resztę dokona — z Szamotuł Wincenty.“

Pod Radziejowem, na kujawskiej ziemi.
Legło Krzyżactwo ze swojemi łupy;
Obszerne pola pokryły się niemi,
Pełne ich drogi i pełne chałupy.
Ogromne zbiory, kradzieżą zebrane,
Więc bije radość z oka Krzyżakowi!
Choć straszną zbrodnią sumienia skalane,
Dążą wesoło ku swemu domowi.

A król Łokietek ze swojemi szyki,
Podążył cicho, dognał pod Płowcami,
Stanął tak blizko, że Krzyżaków krzyki
Wiły się echem między Polakami.

Już swoje znamię rozpostarła jesień,
Nad ziemią zwisła mglica nieprzejrzana,
Co kryła obóz. Był to miesiąc wrzesień,
Dnia dwudziestego i siódmego z rana.

Jeszcze słoneczko swojemi blaskami
Nie ozłociło płowieckiej równiny,
I siwa mglica lekkiemi puchami
Tuliła ziemię, ludzi i rośliny.
A w jej objęciach tam: obóz Krzyżaków,
Co w kilka godzin ruszyć ma z grabieżą,
Ufny w swą liczbę. Tu hufce Polaków,
Nie liczni, ale w świętość sprawy wierzą.

Władysław przebiegł szyki swych rycerzy,
Zagrzewa wszystkich rycerskiemi słowy:
„Dzieci, niech każdy dziś swe siły mierzy
Świętością sprawy, nie na ręce, głowy!
Miłość Ojczyzny, co siły podwaja,
Niechaj z serc spłynie we wasze ramiona,
Niechaj poczuje ta krzyżacka zgraja,
Co znaczy święta Ojczyzny obrona!

Dziś z waszem męztwem los kraju złączony,
A z nim los zagród, żon waszych i dzieci!
Dla was Ojczyzna! — im łup krwią zbroczony!
Wam świętość sprawy — im pożoga świeci!
Niech was te tłumy nie straszą i trwożą!
Miłość Ojczyzny niech będzie z orężem!
Wtenczas me dzieci za pomocą Bożą,
Pomścimy krzywdy! zwyciężem, zwyciężem!“

Z ostatniem słowem dźwiękły trąb sygnały,
Łokietek skinął i hufce Polaków
Za nim z rozpędem orkanu pognały,
Na rozłożonych w obozie Krzyżaków.
Starły się szyki, zmierzyły się siły,
Już w pierwszej chwili legł wraży chorąży!
Już wrogów kupy na ziemi się wiły,
A szabla polska strasznie na nich ciąży.

Widzi Krzyżactwo, że tłum to nie męztwo,
Że tu nie mordy bezbronnych i dzieci,
Że z szablą polską w trop idzie zwycięztwo!
A gdy mgła znika, a słonko rozświeci
Arenę starcia tych sił obustronnych,
Zbladł wróg, tak szybka dlań zgonu godzina!
Za śmierć Polaka legł tuzin zakonnych!
Tem wróg się miesza, i pierzchać poczyna.

Ale w tem pomoc Krzyżakom przybywa
Od strony Brześcia, więc z nowym zapałem
Wróg bój odnawia. Lecz tu przywoływa
Wincenty swoich i z tym pocztem całym
Natarł na zakon z taką gwałtownością,
Że zapał taki — to mężtwo szalonych!
Chcąc tem naprawić co zdradą i złością
Było Ojczyźnie ztąd krzywd wyrządzonych.

Legł komtur jeden — za nim padł i drugi....
Pokrył plac boju ten naród zwierzęcy!
A krwią rumieniąc podpłowieckie smugi,
Złożył tam kości z dwudziestu tysięcy!
Kiedy sromotnie Krzyżak tył podaje,
Król, choć zmęczonym, każe ścigać wroga,
Polacy rąbią, choć już sił nie staje,
Krzyżackim trupem widoma ich droga!

Aż het, z południa trwa walka gorąca,
Sam król Władysław nie żałował stali,
Legło Polaków coś blizko tysiąca,
Co krew niewinną Ojczyźnie oddali....
Znikły tysiące zbójeckich szeregów! —
Polakom wieczór chłodzi czoła znojne,
Już słońce znika z horyzontu brzegów,
Darząc snem błogim sumienia spokojne.

Nazajutrz z rana król pole oglądał,
I ujrzał między trupów tych pokotem
Rycerza swego, co pomocy żądał,
Leżąc z boleśnie rozciętym żywotem.
Król pyta: kto zacz? — litując się mile —
„Floryan Szary — na to odpowiada —
To dla Ojczyzny, więc nie boli tyle,
Co ciągła krzywda od mego sąsiada!“

Król to spamiętał i po dniach nie wielu,
Zwolnił rycerza od sąsiada złego.
Szlachcic żył odtąd już sobie w weselu,
A król dał nowy znak do herbu jego.
Zaś Szamotulski, choć król mu przebaczył,
To od swej braci już nie był lubiany,
I gdy raz z nimi nieco się zahaczył,
W mig jako zdrajca został zarąbany....

Wieku szóstego wskazówka zegaru,
Na czasu tarczy już kresu dobiega,
Od owej doby i kary wymiaru,
I groźnym palcem potomność ostrzega!...
Znikły mogiły, spróchniały ich kości,
I ślad już po nich wiekami zatarty,
Lecz pamięć o nich żyje w potomności,
I nic nie wyrwie dziejowej tej karty! — — —

Szczęsny Ostoja.

Wrzesień 1901 r.

Na nowy sezon teatralny.

W odświeżonym pięknie przybytku Melpomeny naszej sztuka sceniczna niebawem rozpocznie swoje popisy.

Kto wnika głębiej w niezmiernie trudne warunki bytu teatru polskiego w Poznaniu, ten wie, że potrzeba dużo poświęcenia, siły woli i wytrwałości, dużo trudu i zachodu, ażeby kierować sceną tutejszą ku zadowoleniu ogółu, a zastępowi artystycznemu zapewnić byt materyalny. Przez czas długi wiele było troski o to, czy scena polska w Poznaniu wśród niepomyślnych stosunków w ogóle utrzymać się zdoła. Wszakże na teatr płynęły poprzednio tysiączne składki z żelaznego funduszu, który w końcu zupełnie stopniał, a scena nasza ustawicznie walczyła z materyalnemi niedostatkami, rozpraszając nadzieję, że ostatecznie przewalczy trudności wszelkie i byt sobie utrwali. Z każdym rokiem pogarszały się widoki i z każdym rokiem wzrastało zaniepokojenie. Niechaj kto sądzi jak chce, ale nikt nie zbije faktu, że wiarę w egzystencyą teatru, egzystencyą, od ofiarności publiczej niezawisłą, wzbudził dopiero i utwierdził dzisiajszy jego dyrektor. Pan Ryger nie łatwe miał zadanie do spełnienia, zanim mu się powiodło scenę do lepszego doprowadzić stanu i uorganizować ją tak, ażeby o własnych siłach wypracowywać się mogła.

Publiczność nasza, mająca niewątpliwie swoje dodatnie cechy, grzeszy względem teatru tą wadą, że wiele od niego wymagając, do szczególnego poparcia nie jest zbyt pohopną. Potrzeba jej dużo dawać i urozmaicać widowiska, chcąc ją zwabić na przedstawienia i zjednać dla sztuki. Mało kto skory do uznania i pochwał nawet wtedy, gdy one szczerze zasłużone, a mnóstwo jest malkontentów zawsze z ujemną krytyką na ustach. Kierownik sceny wie o tem dobrze i nie łudzi się marzeniem, iż wszystkich zadowolić potrafi. Wie też, że wśród bardziej sprzyjających okoliczności możnaby podnieść scenę tak pod względem doboru sztuk, jak i wykonania. Ale cóż robić, gdy nawet najlepsza rzecz i najstaranniej reprodukowana nie może liczyć na kilkorazowy dostateczny udział publiczności. Czy w obec tego każdy dyrektor sceny nie jest zniewolony stosować się do smaku i gustu publiczności, a baczyć więcej na rozmaitość przedstawień niż na wysoką wartość utworów? Ale p. Ryger w repertuarze swym nie zapomina bynajmniej o sztukach cenniejszych, jakkolwiek przedstawienia ich tak dużo pod względem materyalnym sprawiają mu zawodu. Spekulant prosty, goniący wyłącznie za materyalną zdobyczą, zapewne nie pytałby się o wznioślejsze zadanie sztuki, a starałby się wyłącznie o to, co masy publiczności, a nie prawdziwych melomanów tylko do teatru nęci i co kasę napełnia. Takim spekulantem p. dyrektor Ryger nie jest. Obok trudności ze strony publiczności inne jeszcze zapory ma dyrektor sceny poznańskiej do zwalczenia. Oto przeciętny aktor lub aktorka niechętnie angażują się do Poznania, który ich pragnień zupełnie nie zaspokaja. Gdzieindziej spotykają się oni codziennie z rozmaitym światem artystycznym i literackim, łatwiej się kształcą, żyją szerzej i swobodniej. Tu, w Poznaniu, pomiędzy aktorami z jednej a publicznością z drugiej strony jest przedział prawie zupełny. Żadnego towarzyskiego pożycia, żadnej prawie bliższej styczności! Nadto prasa poznańska scenicznym produkcyom bardzo mało poświęca uwagi. Suche wzmianki o mającem się odbyć przedstawieniu, notatki repertuaru tygodniowego i ostatecznie polecenie jakiego artysty lub artystki przed benefisowem przedstawieniem — oto wszystko! A aktor pragnie obok chleba powszedniego czegoś więcej; pragnie krytyki, łaknie pochwały, gdy na nią zasłuży, a łatwiej zniesie pobłażliwą naganę niż milczenie. Pragnień takich Poznań niezaspokaja, a ztąd też trudno tu dotąd zwabić adeptów sztuki zdolniejszych, z artystycznemi aspiracyami. Ztąd też corocznie przed rozpoczęciem sezonu niemało ma p. dyrektor Ryger mozołu, zanim złoży odpowiedni personał.

Wśród personału zaangażowanego na rozpoczynający się sezon stosunkowo mało widzimy dawniejszych znajomych. Oprócz wiernej i zasłużonej scenie naszej p. Królikowskiej odnajdujemy w wykazie nazwisk pp. Łącką i Czerniakową; z artystów powracają pp. Berski, Czerniak i Okornicki. Przeważna część nazwisk jest publiczności poznańskiej nieznaną; niewątpimy wszakże, iż pod wypróbowanem kierownictwem i reżyseryą p. Rygera wszyscy się wgrają harmonijnie i wymaganiom naszym odpowiedzą.

Witając u progu sezonu nowoprzybywających artystów, życzymy im szczęśliwych popisów na scenie, a teatrowi jak najświetniejszego powodzenia.

Redakcya.

Hej tam z za góry...

Hej tam z za góry, hej tam z za góry
Kurzawę chmurną wiatr goni;
Z kurzawą jadą chłopcy Mazury,
Słychać śpiewanie, parsk koni.
Przy dróżce piękna dziewczyna staje,
Patrząc smutnemi oczami,
Pokłon z za góry gościom oddaje:
— „Dzień dobry mili, Bóg z wami!“
Jeden z nich pyta: „Dziewczę, dlaczego
W oczętach twoich ślad żalu? —
Wybierz z nas chłopca, sercu miłego,
Daj mu usteczek z koralu!“
— „Oj chłopcze! nie wiesz, że szydzisz ze mnie,
Jam przysięgała swojemu,
Ale choć czekam jego daremnie
Wiernam ja słowu danemu.
Poszedł przed rokiem on w kraj daleki
I rzekł: „Niedługo powrócę“,
Het gdzieś za góry, za lasy, rzeki,
A ja się tylko wciąż smucę!“
— „Dziewczyno! chłopiec rzeknie — Bądź zdrowa,
Pamiętaj: Mazur to wiara,
On wróci, jak rzekł, nie złamie słowa,
Z za gór się wrócić postara!“

Władysław Karoli.

Z chwili.

Z niepojętą skwapliwością pospieszyły dzienniki nasze zareklamowaniem Czolgosa jako latorośl plemienia polskiego, prześcigając w tem pisma amerykańskie, a nawet niemieckie. Dalsze wiadomości stwierdzają tymczasem, że Czolgos jest ziółkiem, które z polską narodowością niema nic wspólnego.



Anarchista Leon F. Niemann alias Czolgos,

jest narzędziem znanej z przewrotowych, chorobliwych idei żydowsko-niemieckiej anarchistki Emmy Goldmann, która już od dość dawna jadem anarchistycznym zatruwa w gościnnej Ameryce wykolejone umysły. —

Morderca prezydenta Mac Kinleya urodził się w Detroit (Michigan), liczy 28 lat, jest smukłej postaci, średniego wzrostu, ma niebieskie oczy, ciemne włosy, cerę zdrową, twarz gładką. Czolgos był robotnikiem w fabryce drutu w Cleveland, lecz oprzykrzywszy sobie uczciwą pracę, wstąpił tamże do klubu anarchistycznego „Siła" i wędrował następnie po różnych miastach Ameryki północnej jako apostół anarchizmu.

Głównie przebywał w Chicago, gdzie zapoznał się między innymi z anarchistką Emmą Goldmann, której teorye na niego wielki wywarły wpływ i ten to wpływ spowodowały go też, jak oświadczył przy aresztowaniu, do zamachu na Mac Kinleya. Zaprzecza stanowczo, że nie miał spólników.

Donoszą z Nowego Jorku, że narodowy „Związek adwokatów" zaprotestował przeciw odmowie adwokatów podjęcia się obrony Czolgosa. Morderca Mac Kinleya otrzymał zgodną z przepisami ustawy obronę.

Z Buffalo donoszą, że proces Czolgosa już się rozpoczął. Obrony jego podjęli się ex-senatorowie Lewis i Titus.

Że Czolgos jest wszystkiem innem, tylko nie Polakiem, jak śmią twierdzić bezczelnie pisma hakatystyczne, o tem świadczy najlepiej następująca notatka, którą zamieścił „Dziennik Chicagoski":

„Czolgos jest wyrzutkiem społeczeństwa, wyrzutkiem narodu amerykańskiego, do którego, jako w Ameryce urodzony, należy, wyrzutkiem własnej rodziny, która nim się brzydzi i otwarcie przyznaje, iż on na stryczek zasługuje. On sam z Polakami nie obcował wcale i szukał, bez względu na narodowość, tylko towarzystwa anarchistów. Indygnacyjne liczne zgromadzenia Polaków i oświadczenia rodziny Czolgosa, wystarczą, ażeby udowodnić całemu światu, że nie mają one nic ze zbrodniarzem tym wspólnego."

* * *



Anarchistka Emma Goldmann

jest Amerykanką, żydowsko-niemieckiego pochodzenia niepozornej postaci, nizkiego wzrostu, ma żółtą cerę, czarne, przenikliwe oczy, czarne włosy i odrażający wyraz twarzy. Początkowo pracowała w pewnym zakładzie fabrycznym w Chicago, gdzie się zapoznała w 1887 roku z tamtejszymi anarchistami, mianowicie z tymi, których skutkiem popełnionych zbrodni anarchistycznych później powieszono. W roku 1893 aresztowano Goldmann w Nowym Jorku z powodu przez nią tamże wygłoszonych mów buntowniczych. Po wyjściu z więzienia objeżdżała Goldmann kraj w charakterze agitatorki anarchistów i zasilała pisma anarchistyczne swymi artykułami. W zeszłym roku, krótko po zamordowaniu króla Humberta, udała się do Anglii, gdzie w kilku miejscowościach miała odczyty. Morderca Bergmann, który w 1892 roku podczas wielkiego strejku w Homestead zastrzelił dyrektora kopalni, Fricka, i za to zakończył życie na stryczku, był jej kochankiem. Emmę Goldmann, która należy bez zaprzeczenia, do najniebezpieczniejszych anarchistek w północnej Ameryce, świeżo aresztowano z gronem jej przyjaciół i zwolenników.

* * *

Elektryczne krzesło tracenia.

Ustawa dotychczasowa, obowięzująca w Stanach Zjednoczonych, a odnosząca się do zamachu Czolgosa, brzmi, jak następuje:

„Osoba, która ma zamiar zabicia człowieka, lub zagraża życiu czyjemukolwiek i w tym celu

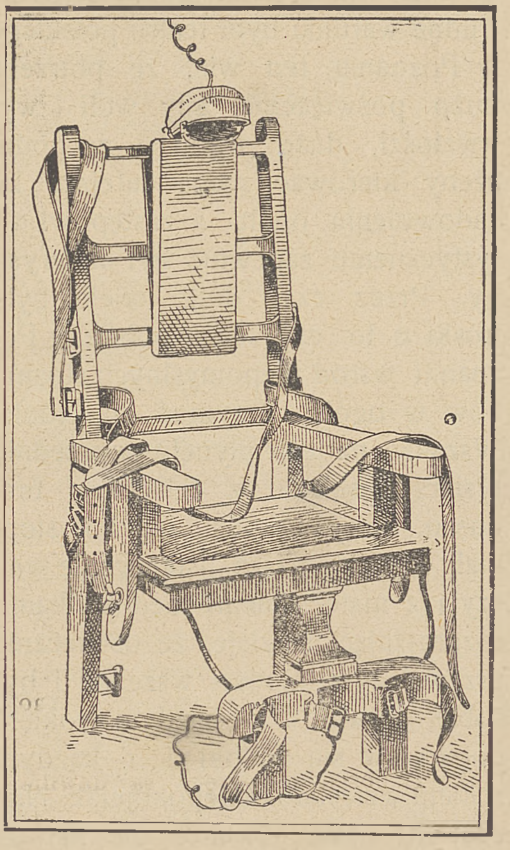
„1) napada na człowieka z nabitą bronią palną lub inną bronią zabójczą, lub w inny sposób mogący śmierć sprowadzić;

„2) zadaje lub stara się o zadanie komuś, lub zażycie przez kogoś trucizny, lub innej materyi szkodliwej, narażającej na niebezpieczeństwo życie, —

„staje się winną zamachu pierwszego stopnia. Zamach pierwszego stopnia karze się więzieniem na czas nie krótszy niż 5 i nie dłuższy niż 10 lat."

Wedle powyższej ustawy oczekiwała by Czolgosa tylko kara więzienia nie dłuższego niż 10-letniego. Atoli powszechnem jest mniemanie, że zbrodniarza ohydnego za czyn bestyalski nie minie kara śmierci.

W Stanach Zjednoczonych od 10 lat osądzonych na karę śmierci zabijają za pomocą elektryczności na skonstruowanem w tym celu krześle. Krzesło to jest ciężkiem, mocno zbudowanem siedzeniem z drzewa dębowego, zaopatrzonem w poręcze i ścianę do oparcia się oraz w kaptur, który zarzuca się na głowę delikwenta. Dalej jest krzesło to zaopatrzone w mocne, skórzane rzemienia, służące do zupełnego skrępowania skazańca. Kaptur jest zaopatrzony wewnątrz w listewkę metalową, dotykającą szczelnie głowy delikwenta. Tak samo



Elektryczne krzesło tracenia.

jest w wycięciu krzesła tuż przy prawej nodze delikwenta zamieszczona taka sama listewka. Obie metalowe listewki nie są połączone ze sobą drutem przewodowym. Skoro się naciśnie guzik elektryczny, wtenczas przechodzi prąd elektryczny z ogromną siłą przez ciało delikwenta od głowy aż do stóp i powoduje śmierć natychmiastową. Na takiem krześle Czolgos niezawodnie straconym będzie, jeżeli sąd ukarze go wyrokiem śmierci.

* * *

Na dalekim lądzie wybuchła obecnie nowa wojna pomiędzy dwoma drobnemi rzeczypospolitemi: Wenezuelą i Kolumbią. Dziś, kiedy akcya wojenna już się rozpoczęła, należy się rozpatrzeć w siłach zbrojnych obudwóch stron walczących. Prawdopodobnie, jak w większości wojen południowo-amerykańskich, obecny spór z bronią w ręku rozstrzygać się będzie zarówno na morzu, jak na lądzie.

Otóż Wenezuela posiada tylko dwa okręty wojenne, a mianowicie dwie łodzie torpedowe i pięć okrętów celnych opancerzonych. Dwie kanonierki torpedowe nazywają się „Bolivar" (zbudowana w Hiszpani w r. 1891) i „Miranda" (z r. 1895 u Thomsona w Glasgowie). Objętość ich wynosi 517 i 1200 tonn. Pierwszy z nich posiada podwójną śrubę i może osiągać 18,6 węzłów szybkości. Posiada on dalej załogę z 96 ludzi i uzbro-

jenie z dwóch armat 12 centymetrowych, czterech 5,7 cm., jednego działa maszynowego i dwóch rur do wyrzucania torped. Okręt „Miranda“ posiada 1 śrubę i może osiągać 12 węzłów szybkości na godzinę. Ma on załogę z 60 osób złożoną, dwa działa szybkostrzelne kalibru 5,7 cm. i jedno działo Maxima.

O pierwszej bitwie niebawem już usłyszymy, albowiem Wenezuelczycy pod wodzą gen. Castro stoją około La Hacha naprzeciw 6000 armii kolumbijskiej.

Dla oryentowania się na terenie, podajemy mapę terenu wojny kolumbijsko-wenezuelskiej.

* * *



Mapa terenu wojny kolumbijsko-wenezuelskiej.

Z pięciu okrętów celnych opancerzonych, dwa t. j. „Mariscall-Ayacucho“ i „General Crespo“ są nowego pochodzenia i uzbrojone w działa nowej konstrukcyi; pozostałe okręty są dawniejszej budowy. Noszą one nazwy „Vencedor“ (2 działa), „Zamora“ i „Livertador“ po jednem dziale.

Ponieważ Nicaragua i Ecuador podniosły także broń przeciw Kolumbii, przeto przyłączą one swe floty do wenezuelskiej. Pierwsza z tych rzeczypospolitych posiada kanonierkę „Momotomba“ i parowiec rządowy „San Jacinto“. Obadwa są lekko uzbrojone.

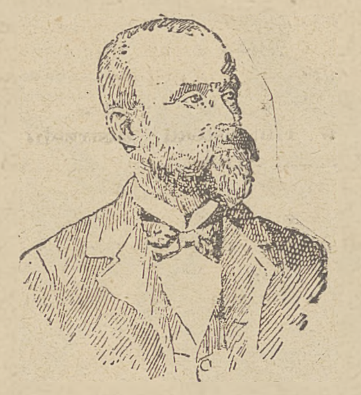
Ecuador rozporządza jeszcze od r. 1889 torpedowcem „Tunguarahua“, uzbrojonym w 4 lekkie mitraliezy i dwoma lżej jeszcze uzbrojonemi parowcami „Cotopaxi“ i „Nueve de Julio“. Wszystko to przedstawia zaledwie mikroskopijną flotę.

Przeciw tej eskadrze Kolumbia może przeciwstawić następujące okręty: kanonierkę „General Nerino“, parowiec transportowy „Cordoba“ i okręty żaglowe „Beatrice Bernard“, „Hercules“ i „Narino“. Szkuner pancerny „La Popa“, stanowiący własność Kolumbii, niedawno zatonął w drodze z Kartageny do Savanilli. Służył on głównie do transportowania wojska.

Z pozostałych okrętów „General Nerino“ jest największym i najlepiej uzbrojonym. Ma on lekki pokład stalowy i trzy działa automatycznie nabijane, kalibru 3.7 centym. „Cordoba“ nosi baterye z trzech dział 5.7 centym. i dwóch armat rewolwerowych.

Z powyższego widzimy, że wielkich walk morskich spodziewać się nie można. Zdaje się, że i walki lądowe nie przybiorą zbyt olbrzymich rozmiarów, albowiem armie obu rzeczypospolitych nie są liczne.

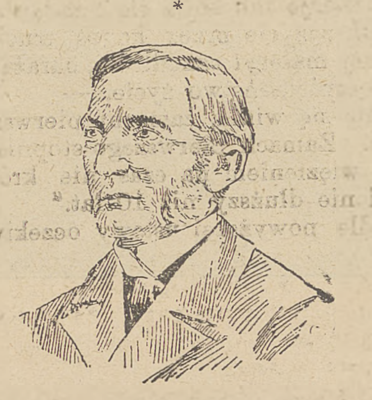
Natomiast nie zbraknie zapewne zaciętości w walkach, jak to zwykle bywało w wojnach Ameryki południowej.



Generał Castro, prezydent rzeczypospolitej wenezuelskiej

jest następcą prezydenta Andrade'go. Stanął on na czele wywołanego przeciw niemu powstania, a po zdobyciu przez powstańców miasta Caracas, stolicy kraju, objął prezydenturę. Rządy jego są gwałtowne, podejrzywają go też o bezprawne przywłaszczenie sobie pieniędzy rządowych. Liczy lat 40. Wojnę teraźniejszą przygotowywał już od dłuższego czasu.

* * *



Senor Antonio San Clemente, prezydent rzeczypospolitej kolumbijskiej

jest ślepem narzędziem stronnictwa konserwatywnego, dającego powód do złej gospodarki w kraju. Usunięcie Clemente'a z krzesła prezydenta jest absolutnie koniecznem, inaczej kraj cały popadnie w ruinę.

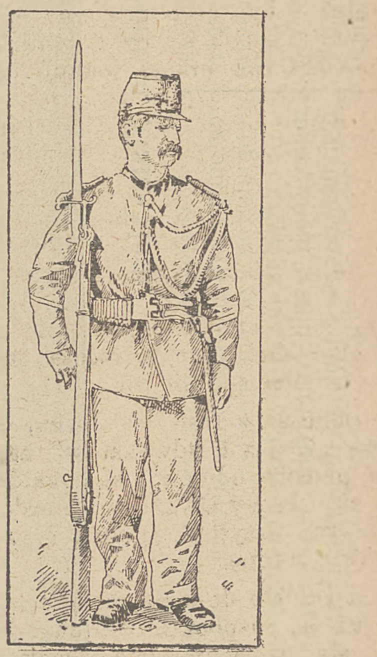
* * *



Generał Rafał Uribe,

przywódzca powstania w Kolumbii, już dawno poznał złą gospodarkę prezydenta Clemente'a, dlatego stanął na czele powstańców. Najprawdopodobniej też Uribe zostanie prezydentem kolumbijskim po zrzuceniu z urzędu Clemente'a. Wybór Uribego byłby dla kraju prawdziwem błogosławieństwem, gdyż posiada on wszelkie zdolności, aby rozluźnione i zgniłe stosunki wytępić i kraj doprowadzić do dobrobytu.

* * *



Żołnierz wenezuelski.

Uniform żołnierza wenezuelskiego podobny jest do uniformu francuzkiego piechura, tylko patrony przymocowane pojedyńczo do pasa przypominają system angielski. Broń, w którą jest uzbrojony, należy do przestarzałego modelu.

Siła pokojowa armii wenezuelskiej wynosi: 9 batalionów piechoty, 1 szwadron kawaleryi, 2 kompanie piechoty marynarskiej. Korpus oficerski liczy o wiele więcej członków niż cała armia żołnierzy, a winna temu osławiona gospodarka rzeczypospolitych południowo-amerykańskich.

—ski.



W gościnie u Niam-Niam.

W samem „sercu Afryki,“ prawie pod równikiem, na urodzajnem płaskowzgórzu, porosłem lasem dziewiczym a przerzynanem mnóstwem rzek i strumyków, które rozpływając się na wszystkie strony świata, tworzą w dalszym biegu rzeki: Nil, Zambezi, Kongo i Niger, mieszka potężny szczep ludożerczy Niam-Niam, który uczeni zaliczają do rasy semickiej; świadczy o tem nos orli i kolor skóry, jaśniejszy niż u sąsiednich szczepów murzyńskich. Szczep ten liczy miliony jednostek i żyje odosobniony od szczepów murzyńskich, dla których żywi największą pogardę, co jednak nie przeszkadza, że mięso ich znajduje wyborne w smaku.

Pierwszym Europejczykiem, któremu udało się dotrzeć do owych legendowych regionów, był dr. Jerzy Schweinfurth, udekorowany za to przez „Londyńskie towarzystwo geograficzne“ złotym medalem.

Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę, gdy biały Europejczyk, zjawisko nie znane dotąd wśród Niam-Niam, rozdaje podarki, by tym sposobem zaskarbić sobie przyjaźń ludożerców i uniknąć nieprzyjemnej sytuacyi na rożnie.

S. Wcz.



Lawn tennis.

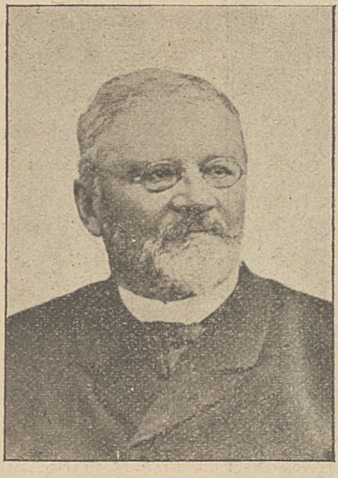
Lawn tennis coraz więcej znajduje miłośników. Gra ta, pochodząca z Anglii, tyle ma zalet przed innemi, że względy, jakiemi się cieszy u sportowców, są zupełnie zasłużone.

W lawn tennis gra się po części pod gołem niebem, a występują w niej 2, 3 albo też 4 osoby, podrzucające ku sobie za pomocą palantów siatkowych piłki gumowe, obszyte skórą, a mające 6 do 7 cm. średnicy. Przy tem rozchodzi się o to, aby o ile możności najdłużej utrzymać piłkę latającą w powietrzu. Plac gry musi być równy, 8 do 11 metrów szeroki, a 24 metry długi. Sieć 1,70 m. wysoka przedziela go na dwie równe połowy.

S. Wcz.

✝

Nekrologia.



S. p. Stefan hr. Żółtowski.

W grobowcu świątyni Głuchowskiej złożono w zeszły poniedziałek do wiecznego spoczynku zwłoki jednego z najgodniejszych obywateli wielkopolskich, zgasłego dnia 19 b. m., ś. p. Stefana hr. Żółtowskiego. Nie czczy ceremoniał tylko, ale szczery, głęboki żal i cześć niekłamana zgromadziła w dzień pogrzebu u trumny niebożczyka liczne zastępy rodaków bez różnicy stanu. Porówno szlachta jak włościanie, porówno mieszkańcy miast, jak siół pospieszyli do Głuchowa, ażeby oddać ostatnią przysługę temu, który społeczeństwu polskiemu za życia tyle przysług oddawał.

Ś. p. Stefan hr. Żółtowski urodził się dnia 8 września 1839, kształcił się początkowo w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu i tam też w roku 1857 zdał egzamin dojrzałości. Po trzyletnich studyach na uniwersytetach berlińskim i heidelberskim powrócił w ojczyste strony i osiadł w r. 1861 w Kadzewie. Pojąwszy za żonę Gabryelę Niemojowską, przeniósł w kilka lat później siedzibę swą do Głuchowa, którą nabył na własność w r. 1873. Przez lat sześć, od roku 1880 począwszy, posłował do niemieckiego parlamentu a długie lata stał na czele prowincyonalnego komitetu wyborczego.

Syn gorącego patryoty, wojownika z pod Grochowa i Ostrołęki, ś. p. hrabia Stefan przejął w spuściźnie szczere przywiązanie do ojczystego kraju, miłość narodu i poczucie obywatelskiego obowiązku. Ale odmiennemi były czasy, w których mu żyć wypadło, odmiennymi warunki, wśród których pragnął był za pięknym ojca wzorem pracować i poświęcać z zasobu cennych sił swoich dla dobra publicznego.

Po orężnych zapasach, co mimo tylu pięknych objawów miłości Ojczyzny i poświęcenia pogorszyły byt polityczny i materyalny narodu, zwiększając na czas pewien duchowe przygnębienie, poczęło sobie wśród nas — właśnie wtedy, gdy umysł ś. p. hr. Stefana dojrzewał — torować drogi to rozpoznanie, że trzeba długiej, mozolnej i wytrwałej pracy, ażeby chronić resztę narodowego bytu od upadku a przedewszystkiem rozniecić w narodzie wiarę w siły własne i wiarę w przyszłość, klęskami osłabioną. I rozpoczęła się epoka duchem narodowym ta sama, co poprzednie czasy, ale charakterem odmienna, rozpoczęła się walka również pełna trudu i bólu, ale wymagająca silnej woli, hartu duszy i wytrwałości.

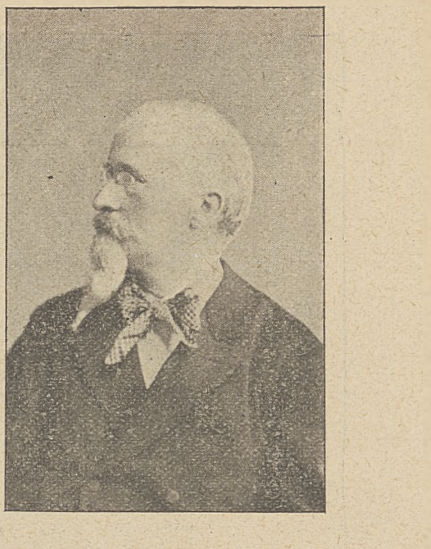
Wiemy, ilu w tej walce straciliśmy placówek, ilu padło tych, którzy nietylko bojownikami, ale osłoną ludu być mieli. Ś. p. hr. Stefan należał do coraz szczuplejszego zastępu mężów, umiejących odpowiedzieć świetnie powyższemu zadaniu. Ojczysta gleba była dla niego posterunkiem, na którym potrafił własną egzystencyą coraz bardziej umacniać, a jednocześnie chronić lud od upadku i działać dla dobra całego narodu. Jasny pogląd na warunki narodowego naszego bytu, silna wola i równowaga wśród waśni wewnętrzno-społecznych dozwalała mu zawsze spełniać wybitną i poważną rolę w naszem publicznem życiu. Te zalety wielkie uprawniały go też do wszelkich godności, któremi nasze pognębione politycznie społeczeństwo obywateli swych darzyć może. Z powierzonych sobie zaszczytnych mandatów ś. p. hr. Stefan wywiązywał się zawsze tak, że nawet w wirze walk stronniczych nie spoczął na nim nigdy zarzut, że albo samolubnemi pobudkami, albo też złą wolą się kierował. Czystym i nieskażonym, rzetelnym i rozumnym, zawsze z myślą kierowniczą dobra społecznego widziano go w Berlinie, gdy bronił praw naszych, i takim widziano go też jako prezesa na czele naszej organizacyi wyborczej. A w czasach, gdy społeczeństwo wielkopolskie z zewnątrz obsypywane pociskami praw wyjątkowych, wewnątrz zaś rozdzierane namiętnemi hasłami stronniczemi, potrzebowało mężów zdolnych, aby wiązać co się rozrywało i koić co się jątrzyło, ś. p. hr. Stefan taktem swym, bezstronnością i równowagą naprawiał skrzętnie to, co psuł zupełny niekiedy brak porozumienia.

Zasłużył on sobie szczerze na to, ażebyśmy go zachowali w pamięci jako wzór człowieka i obywatela Polaka. Zgon jego sprawia wśród nas próżnię nie łatwą do zapełnienia. Zacnej rodzinie ubywa jeden z najgodniejszych jej przedstawicieli, ludowi polskiemu rozumny opiekun i pracownik dla jego oświaty, ziemiaństwu dzielny towarzysz i doradzca, ojczyźnie syn dobry, rozumny i pracowity. Pamięć wdzięczna i cześć ogółu wiązać się będzie trwale z jego zacnem imieniem.

* * *

S. p. prof. Maksymilian Edward Sosnowski,

znany i ogólnie szanowany pierwszy bibliotekarz biblioteki Raczyńskich zmarł w mieście naszem dnia 22-go b. m. w 79 roku życia. Zmarły, który był z zawodu nauczycielem gimnazyalnym i obowiązki tego zawodu pełnił mianowicie w gimnazyum bydgoskiem, objął przed 33 laty zarząd tutejszej biblioteki Raczyńskich i pełnił ten urząd z pedantyczną sumiennością, dbając mianowicie o kompletowanie bogatych zbiorów biblioteki wyborowemi dziełami polskiemi, oczywiście o ile na to niemiecka władza nadzorcza, bardzo skąpa w wyznaczaniu środków na dzieła polskie, pozwalała. W stosunkach osobistych był miły i uprzejmy i w godzinach, w których biblioteka jest otwarta dla publiczności, zawsze był na posterunku, służąc chętnie pomocą



Ś. p. profesor Maksymilian Edward Sosnowski.

i radą korzystającym z niej. Posiadał bardzo rozległe wiadomości ze wszystkich dziedzin nauki, tak, że go nazywano „żywą encyklopedyą.“ R. i. p.!

* * *

S. p. Ignacy Sewer Maciejowski,

głośny powieściopisarz, zmarł dnia 22-go b. m. w Krakowie na paraliż serca w 67 roku życia. Był to talent wielkiej miary, pisarz pierwszorzędny. Jego powieści, w których drgało zawsze silne tętno współczesnego życia społeczeństwa polskiego we wszystkich jego przejawach, w których to życie malowało się z fotograficzną wiernością, kreślone piórem głębokiego psychologa, cieszyły się wielką popularnością w kołach inteligentnej publiczności, że wymienimy na razie tylko jego ostatnie powieści społeczne: „Nafta“, w której świetnie przedstawił dzieje galicyjskiej gorączki naftowej, i „Po nad siły“, którą „Dziennik Poznański“ drukował niedawno w swoim feletonie, a w której wielki pisarz tak niezmiernie interesująco przedstawił dzieje ostatnich galicyjskich krachów i ich poniewolnych sprawców Zimy i Szczepanowskiego.

Cześć pamięci znakomitego pisarza i obywatela zarazem, bo każda jego powieść była czynem obywatelskim!

* * *

S. p. Gustaw Gebethner.

We Władykaukazie umarł Gustaw Gebethner, współwłaściciel znanej firmy księgarskiej. Był w odwiedzinach u córki, zamężnej pani Zdzisławowej Prażmowskiej i tam niespodziewanie śmierć go zaskoczyła.

Ze zgonem ś. p. Gustawa Gebethnera schodzi z naszej widowni społecznej postać, wydatnie zarysowana w życiu Warszawy z drugiej połowy ubiegłego stulecia. Bez przesady można powiedzieć, że od chwili, gdy w roku 1857 założył wspólnie z Robertem Wolffem, księgarnię, po dziś dzień w tem samem miejscu istniejącą, żywot Gustawa Gebethnera streszczał w sobie cały ten świetny stosunkowo rozwój księgarstwa polskiego, jaki w danej epoce osiągnięty został. Za-

biegliwością, umiejętnem prowadzeniem interesów i wytrwaniem obu spólników firmy, stanęła największa księgarnia polska, a obok niej, szereg wydawnictw peryodycznych, które w kulturalnej historyi kraju zajmą poważną kartę. R. i. p.

* * *



S. p. Ignacy Sroczyński,
(żołnierz z r. 1848 i 1863)
(Według zdjęcia fotograficznego z lat młodszych).

umarł dnia 3-go b. m. w 71 roku życia w Żernikach pod Żerkowem. Nieboszczyk urodził się w Choryni w powiecie Kościańskim, a poświęciwszy się rolnictwu, był przez 35 lat rządzcą w dobrach mieszkowskich u ś. p. prezesa Taczanowskiego. Następnie nabywszy przed 13-u laty bardzo zaniedbany folwark w Żernikach pod Żerkowem, doprowadził go przez swoją niezmordowaną pracę do stanu kwitnącego, a jako Polak nietylko z nazwiska — pozostawił ten piękny kawałek ziemi, o który w pocie czoła się dobijał, — w spuściźnie swemu synowi, za co się zmarłemu należy cześć i uznanie. Zmarły, jako prawy syn Ojczyzny, — brał żywy udział w powstaniach roku 1848 i 1863, był gorącym patryotą, dobrym mężem i wzorowym ojcem. „Praca“ straciła w zmarłym najgorliwszego czytelnika i zwolennika.

Oby mu ziemia ojczysta, którą tak gorąco ukochał, była lekką!

Cześć Jego pamięci!

* * *

S. p. Helena z hr. Dąbskich Heliodorowa Święcicka I-o voto Zaborowska,

opatrzona św. Sakramentami, umarła w Poznaniu po krótkich, lecz ciężkich cierpieniach, dnia 21-go b. m., przeżywszy lat 52.

Dr. Heliodor Święcicki, znany i ceniony daleko po za Księstwem ginekolog poznański, dotknięty został ciężko tym ciosem losu. Śmierć ś. p. Heleny nie tylko odczuwa najbliższa rodzina, lecz i szerokie koło społeczeństwa, dla którego potrzeb i ideałów zmarła żywiła gorące uczucia i zrozumienie prawdziwej Polki. W żalu pogrążonej rodzinie przesyłamy wobec otwartej trumny wyraz najgłębszego współczucia. Zmarła była matką żony wiceprezydenta skarbowości krajowej W. Korytowskiego we Lwowie.

Cześć Jej pamięci!

Dział kobiecy.

Strój i dom.



Lato dogorywa, jesień walczy już o prawa swoje, a wrzesień to miesiąc smętnej poezyi, pożegnanie dni długich i promiennych. Zda się, jest to pora, która w każdym nieledwie pobudza wyobraźnię do porównań, refleksyi, wspomnień...

Przedwczesne chłody przestraszyły nas niemało, lecz niewątpliwie piękne, ciepłe dni czekają nas jeszcze, „babie lato“ krótkotrwałe, słoneczne a zwodnicze, niby ostatni oddech głębszy przed skonaniem. Ileż to czaru w tych ostatnich dniach letniego ciepła, jak się niemi cieszymy! Jeszcze raz nakłada się jasną suknię i leciuchną okrywkę i możnaby zapomnieć, że rychłe zimno zwarzy resztę kwiatów, gdyby nie drzewa i krzewy, rdzą jesieni okryte. Masy zieleni wyglądają niby haft jakiś przedziwny, na bladem tle rozsnuty najcudniejszemi tonami *„pastel“*, gdzie niegdzie przetykany jaskrawą nitką.

Wrzesień to miesiąc powrotu do zajęć domowych, miesiąc myślenia o stroju nietylko swoim własnym, lecz i o stroju domostwa miłego.

Dom upomina się o strój i ład, których przez czas tak długi nie oglądał. Staje się znowu otoczeniem, tłem, o którego wytworność dba każda, smakiem obdarzona mieszkanka.

Meble zrzucają szpetne pokrowce, okna ubierają się w firanki, drobne usunięte na lato przedmioty wracają na miejsca. „Dom robi tualetę.“

Niesłychanie lubię to zajęcie. Tak przyjemnie potem rozejrzeć się do okoła; jakieś, rzekłbyś, odżyłe świeżo przywiązanie budzi się do własnego kącika na myśl, ile to długich wieczorów spędzi się w nim nad pracą lub dobrą książką.

Jest atoli punkt ciemny, który będąc dla innych wielką ponętą, dla mnie przyznam się, psuje sentymentalną poezyą września. Punkcikiem owym jest otwarcie polowania, hasło śmierci dla tylu biednych stworzeń. Może pod wrażeniem przepysznej opowieści Dygasińskiego żywiej to odczuwam, dość, że nawet przy oglądaniu arcywdzięcznych, doskonale pomyślanych i wykwintnie wykończonych kostyumów do polowania, nie mogłam zapomnieć, że te zgrabniutkie kraciaste spódniczki, wygodne flanelowe bluzki, śliczne otwarte na nich bolera i kokieteryjne kapelusiki, postrachem będą dla tylu szaraków i ptasząt.

Moda zawsze czynna, przewidująca, niestrudzona, już wtedy, gdy jej żar słońca jeszcze dopieka, łamie sobie głowę i przyzywa całą moc swej niewyczerpanej fantazyi ku obmyśleniu czegoś „nowego“ na sezon jesienny. W zawody idąc ze sztuką i artyzmem, chcąc przekonać świat o swym dobrym smaku, w pomysłach swych zachowywa obecnie bardzo powściągliwą miarę i jeżeli dąży do zmiany w tym czy owym szczególe ubrania, czyni to z wielką oględnością i dobrze zastósowanem stopniowaniem.

Przybrania wciąż jeszcze te same: aplikacye, plisy, inkrustacye, zakładki i stebnówka, stebnówka bez końca.

W fasonie spódnic nader łagodne, prawie niedostrzegalne zmiany. Spódnice pozostają obcisłe na biodrach, mocno rozszerzone w dole albo zakończone kolistemi falbanami.

Okrycia wogóle widzi się również bardzo podobne do noszonych na wiosnę. Nowością przy nich są okrągłe, niby pelerynki, kołnierze, bądź z aksamitu, bądź wreszcie z materyału okrycia.

Dla osób, obdarzonych zręczną postacią, śliczne są stylowe *redingotes Louis XVI.* Dopełnione pięknym koronkowym żabotem, strojnie i dystyngowanie wyglądają.

Styl *Louis XVI*, obficie już w zeszłym sezonie karnawałowym używany, liczne i w obecnej porze znajdzie zastosowanie.

Kokardy w tym stylu, czy to z aksamitki, czasem usztywnione cieniutkim drucikiem, czy wiązane ze wstążki, spotykamy na różnych częściach ubrania.

Barwom, noszonym śród lata, przynajmniej na początku obecnego sezonu moda pozostaje wierna. Wybiera jedynie tony ciemniejsze nieco i może dyskretniejsze zestawienia. Kolor szary we wszystkich odcieniach wyróżniany jest przed innemi.

Czy biała pończoszka, a z nią bucik biały przetrwają przez jesień? W Paryżu podobno zapomniano już, kiedy biało obute nóżki poczęły nęcić oczy (czyż biały bucik naprawdę bardziej nęcący jest od ciemnego?), tak dalece moda ta utrwaliła się na bruku paryskim.

Wiadomo, że kokieteryą mody są wieczne niespodzianki lub wskrzeszanie rzeczy, noszonych przed laty.

Biała pończoszka! (dawniej, co prawda, czarnej nie znano), biała pończoszka była przedmiotem wielu zachwytów i dytyrambów. Wszakże nawet mrówki zwabione były białością pończoszki Telime-

ny, a kiedy to już, kiedy, bohaterki Pawła de Kocka, unosząc z wdziękiem (o, z bardzo odważnym wdziękiem!) wyfalbankowane spódniczki, śmiały się wesoło i ukazywały nóżki w białych pończoszkach!...

W owym czasie białe, „ażurowe“ pończoszki stroiły delikatną nogę damy dworskiej — i w białych pończoszkach skakały ochoczo nóżki Mimi Pinson na balu w Closerie des Lilas.

W obecnej dobie symbolizowania wszystkiego, kto wie, czy biała pończoszka, wysuwająca się z pod falban białej spódniczki, nie wydaje się symbolem onych czasów, kiedy to umiano bawić się bez troski, bez obłudy i bez egoizmu.

Czy razem z powrotem białej pończoszki ludzie swobodniej śmiać się będą? Oj, chyba nie.

Przez szereg lat dość długi pończocha czarna tak wszechwładnie panowała nad światem mody, iż o białej pod karą śmieszności wspomnieć nie było można. Niewątpliwie ludzie bawili się, bawią i bawić się będą po wsze czasy, wiecznie też znajdują się tacy, którzy w zabawie szukają upojenia; lecz dziś studenci, ba, starsi uczniowie gimnazyalni, pozują na ludzi przeżytych, czarna zaś pończoszka może być symbolem stanu duszy tej, która przyodziała w nią swoje śliczne nóżki.

Już to nieraz tak bywało, że moda nagle schlebiać poczęła temu, co pogardliwie odrzucała przez całe lata.

Nietylko na piasku wybrzeży morskich, nie tylko na żwirze parków i ogrodów lub na murawie polanek zielonych, lecz na eleganckich ulicach wielkiego miasta biała pończoszka razem z bucikiem białym święci swe tryumfy. Dla wielu podobno biało obuta nóżka pełną jest uroku i ponęty, wielu utrzymuje, że taka nóżka biała, maleńka, koniecznie zgrabna i maleńka, drepcąca z wdziękiem w obłoku strojnych spódniczek, ma coś w sobie zuchowatego, rzekłbyś, figlarnego.

Ach, tak, wszystko to tak pięknie wygląda... na papierze. Atoli w rzeczywistości biała pończoszka, a jeszcze bardziej bucik biały, już tem samem wiele traci z przypisywanego mu uroku, że po przebyciu kilkudziesięciu kroków dalekim jest od pierwotnej białości.

Ciekawą jest rzeczą, jak długo potrwa panowanie pończoszki Mimi Pinson? Co późna jesień powie zuchowatym białym nóżkom?

Chcę być poetyczną, cóż, kiedy poezyę psują mi setki nóg, które, ubrane w czarny lub ciemny bucik, wyglądałyby „przyzwoicie“, a w każdym razie nie zwracałyby na siebie uwagi, w białem zaś obuwiu wyglądają wprost potwornie.

Dowodzi to, że łatwiej napisać felieton o modzie, aniżeli kobiecie zdobyć się w rzeczach mody na kryteryum bezstronne i właściwe zastosowanie ich, rozumie się, gdy o nią samą chodzi....

W jednym z najświeższych numerów jednego z najwytworniejszych pism, poświęconych modzie, zdarzyło mi się spotkać coś zupełnie nowego i zabawnego.

Pismo, będące dotychczas jedynie doradzcą pań, występuje z radami dla panów, tak, dla panów.

Pozwalam sobie wyciąć kilka wierszy z owego panom poświęconego, artykułu, aczkolwiek przepisy obowiązujące na wybrzeżach uważam za spóźnione. Pocieszam się tem, że istnieje Biarritz i że wiele osób kąpie się w porze obecnej na południu.

A więc:

Koszula jasna, kolorowa, z jednolitemi mankietami i kołnierzem. Kokarda krawata niewielka. *Sac* z kieszeniami na wierzchu i z odwiniętemi mankietami. Spodnie białe. Kapelusz, opasany wstążką w kolorze krawata, rękawiczki perłowe.

Przy ubraniu wizytowem, czy wieczorowem, też spodnie białe. Należy do „szyku“, żeby kapelusz mocno był zniszczony, powyginany i pomięty.

Kamizelka kolorowa zaliczona jest do archaizmów. Przeżyła się.

W rannych godzinach spodnie wysoko podniesione. Rękawiczki obszerne, nadzwyczaj obszerne, broń Boże, nie zapinane nigdy.

Podpisano: *Fantasia.*

Nie rozumiem, z jakiego powodu Fantasia tak usilnie namawia do noszenia spodni białych. Czy gwoli żywszemu przechowaniu wspomnienia o prezydencie Carnocie, który podobno nigdy nie nosił innych? Ha, w takim razie, Francuzi, którzy prezydenta Carnota żałowali szczerze, powinniby patrzeć na tę część ubrania ze łzą w oku.

A kapelusz pomięty? Fantazyo, czy kto słyszał kiedy, żeby kapelusz pomięty miał być noszony jako dopełnienie starannego ubrania? A jakie panieńskie elegancye — dobieranie wstążek przy kapeluszu, odpowiednich do koloru krawata.

Fantazya zaleca gorąco, żeby *les indispensables* noszone były *haut retroussés*. Szpetna ta moda, raczej szpetne to przyzwyczajenie przywędrowało prawdopodobnie z Londynu, z miasta, w którem pora dżdżysta jest prawie panująca.

Fantazya wspomina jeszcze, iż kamizelki kolorowe przeżyły się. A więc one żyły kiedykolwiek? Dla mnie i to nowina.

Paryżanki, na przekór wszelkim *haut retroussés*, z niewzruszoną obojętnością wysłuchały całego szeregu polemik i nawoływań, dotyczących sukien powłóczystych. Nie zważając na żadne mikroby w dalszym ciągu pozostają uparcie niepoprawne i dowodzą (przyznaję, nie bez słuszności), że mniej szkodliwą dla zdrowia jest suknia długa, umiejętnie unoszona, niż pozornie krótka, t. j. rąbkiem jedynie dotykająca ziemi. Takiej niema zwyczaju dźwigać w ręku, wystarcza zaś uderzanie rąbka o ziemię, aby kurz kłębił się i wznosił.

Oko tak już przywykło do tych sukien, dźwiganych w ręku, że nie myśli się wcale, aby znów kiedy inaczej być mogło. Mylne to jednak zdanie. Moda rozkaże nosić suknie krótkie i kobiety bez szemrania przestaną nosić długie. Przyznać im trzeba nadzwyczajny dar przyswajania sobie nowości.

Charakterystyczną też jest szybkość, z jaką kobieta dostrzedz umie najdrobniejsze szczegóły w tualecie innej kobiety. Bywa n. p., że dwie damy w przejeździe obok siebie, zdążą wzajem jedna u drugiej zauważyć doskonale nietylko ogólny krój sukni, lecz nawet gatunek materyału i deseń koronki.

Jeszcze pytanie: kto z dwojga, kobieta czy artysta, bardziej uzdolniony jest do tworzenia pomysłów na stroje?

Nierzadko w ostatnich czasach, szczególniej w Belgii, artyści, prawdziwi artyści, zajmują się obmyślaniem wzorów ubrania damskiego, lecz przyznam, że wszystko co dotychczas widziałam, było nieudolną próbą. Nie wystarcza tu ani poczucie piękna, ani szeroka fantazya artysty, ani umiejętny dobór barw, ani znajomość budowy ciała kobiety w jego naturalnych, suknią i gorsetem niezmienionych pięknościach.

Gdy chodzi o jaki kostyum nadzwyczajny, o zachowanie czystości stylu, a nie ma się dość zaufania do własnej znajomości rzeczy w tym względzie, lub gdy mamy dobrać strój do portretu, w takich razach dobrze jest poradzić się artysty; przy obmyślaniu jednak zwykłego, modnego ubrania, nierównie pewniej polegać można na intuicyi uzdolnionej modniarki.

Z całą odwagą mego przekonania powiem, że wszystkie oglądane przeze mnie wzory sukien, rysowane przez sławnego hołdownika modernizmu, Belgijczyka Van de Velde, były arcybrzydkie.

Zofia S.

Tajemnicza zbrodnia

Oryginalnie przetłomaczył z francuskiego dla „Pracy"

Empa.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Była to uroczystość Wszystkich Świętych. Zimno zawitało w tym roku wcześnie, a lekka powłoka śniegu pokrywała wyżyny, ciągnące się na północ miasta Amiens, stolicy departamentu Somme. Niedaleko od stacyi kolejowej Longpré widniały z poza ciemnego lasu wieże starego, ale wspaniale zbudowanego i odnowionego zamku, w którym zamieszkiwali zwykle latem państwo de Plessis Saint-Luc. Z początkiem zimy wracali do Paryża; w tym roku jednak życzyła sobie markiza de Plessis, tęskniąca zawsze za miastem, pozostać na wsi jeszcze. Cała więc rodzina jej przebywała dotąd w zamku.

Około godziny czwartej po południu, gdy zmrok zaczął już zapadać, palił się na kominku w przepysznie urządzonym salonie jasny ogień. Wprost naprzeciw kominka spoczywała w rzeźbionym, kosztownym aksamitem pokrytym fotelu, pani domu i wpatrywała się w płomień, rzucający czerwone blaski na ściany. Marzenia takie o szarej godzinie usposabiają ludzi zwykle miękko i łagodnie, ale twarz markizy nie wyrażała w tej chwili ani łagodności, ani miękkości. Piękna to była kobieta, a chociaż liczyła już lat 38, to wyglądała o wiele młodziej i mogła śmiało rywalizować z młodemi kobietami. Szpecił ją jedynie wyraz twarzy ostry i wyniosły, a uśmiech, jaki się czasem pojawiał na jej ustach, był złośliwy i nieprzyjemny. Markiza była też rzeczywiście niezmiernie dumną, zimną i szyderczą i dwie tylko osoby mogły się poszczycić jej przywiązaniem, a nawet pewnym rodzajem czułości, to jest ojciec jej, pan Jakób Lemarche, jeden z najbogatszych posiedzicieli fabryk we Francyi, i mąż jej, markiz Horacy de Plessis.

Po lewej stronie kominka, ukryta w cieniu kilku olbrzymich palm, siedziała na nizkim taburecie młodziutka, szesnastoletnia mniej więcej dziewczyna. Jasnowłosa, wysmukła, delikatna, miała ona wielkie, ciemne oczy, które zdawały się prosić każdego o miłość i wyrozumiałość. Na pierwszy rzut oka nie byłby nikt przypuszczał, aby owa dziewczynka, która co dopiero skończyła wiek dziecęcy, była córką tej dumnej, pięknej pani.

W salonie głębokie panowało milczenie, pierwsza przerwała je córka ciężkiem westchnieniem.

Markiza zbudziła się z zadumy, a nie widząc w pierwszej chwili nikogo w salonie, zapytała głośno:

— Jesteś tu, Gino?

— Tak, mamo — odrzekła Gina. — Viola poszła na nieszpory, aby się modlić za umarłych i złożyć wieniec na trumnie babci w grobowcu. Jutro przecież Dzień Zaduszny. Nie chciała mnie zabrać z sobą dlatego, że na dworze tak zimno.

— Co tam robisz?

— Patrzę na ciebie, mamo!

I nieśmiało, z wyrazem wzruszającej czułości, dodała:

— Ach, jakże jesteś piękną, mamo!

Równocześnie zerwała się, przybiegła do matki, i objąwszy jej szyję, chciała ją pocałować.

Pani Laura szorstko odsunęła córkę.

— Odzwyczaj się raz przecież tych gwałtownych manier — zawołała niechętnie. — Nie wypada być do tego stopnia egzaltowaną.

— O, nie wierzę tego! — odrzekła Gina, zrażona chłodem matki. — Viola jest córką księcia, co przecież więcej znaczy, niż markiz, a pomimo to uściska i ucałuje mnie zawsze tak serdecznie!

— Proszę cię, uważaj Violę tylko za to, czem obecnie jest, a więc za zwyczajną nauczycielkę i nie stawiaj mi jej ciągle jako przykład. To też wcale nie wypada.

Rozmowę tę przerwało wejście dwóch lokai, którzy wnieśli zapalone lampy, osłonione różowemi koronkami, a zapaliwszy jeszcze wszystkie świece w kinkietach, oddalili się cicho, jak duchy.

Zaraz potem odsunęła biała ręka dziewczęca ciężką portyerę i dźwięczny, łagodny głos dał się słyszeć na progu.

— Czy wolno wejść?

Pani Laura milczała, ale oczy jej zabłysły straszną nienawiścią, a wyraz twarzy stał się jeszcze dumniejszy i pogardliwszy.

Gina za to zawołała z niezmierną radością:

— Ach, to Viola! Pójdź, pójdź prędko!

I biegnąc ku drzwiom, wciągnęła Violę Marburg do salonu.

Córka księcia de Lacroix-Marburg liczyła lat 28. Średniego wzrostu, szczupła, zręczna, miała twarz nadzwyczaj sympatyczną, otoczoną bujnemi, jasnemi włosami. Cała jej powierzchowność nosiła cechę prawdziwej arystokratki, a chociaż ubraną była w skromną, czarną, wełnianą suknię, to wyglądała wytworniej, niż pani Laura w swej kosztownej, aksamitnej toalecie. Błękitne jej oczy miały wyraz głębokiego smutku, a czerwone, małe, ślicznie wykrojone usta zdawały się nie znać wesołego uśmiechu. Nie wesołem to było życie córki zmarłego w ubóstwie księcia Marburga, w domu markizy. Biedną sierotą zajęła się najpierw stara pani de Plessis, kazała ją własnym kosztem wykształcić i okazywała jej zawsze wiele przywiązania, ale od czasu, gdy starszy z jej synów ożenił się z Laurą Lemarche, stał się pobyt Violi w tym domu prawdziwą męczarnią. Pomimo, że markiz Horacy de Plessis był jej blizkim krewnym, dawała pani Laura przy każdej sposobności uczuć Violi, że uważa ją tylko jako płatną nauczycielkę Giny; nie szczędziła jej żadnego upokorzenia i zasypywała ją nieustannie niesprawiedliwemi zarzutami. Ale nic nie mogło ugiąć dumnej, nieszczęśliwej dziewczyny.

— Muszę zarabiać pieniądze dla siebie i dla brata, — powtarzała sobie Viola codziennie. — Któżby płacił na jego wykształcenie? A przecież Gaston musi zdobyć stanowisko odpowiednie naszemu rodowi!

I nigdy nie wyszło z ust jej słowo skargi! Nawet wobec zacnego proboszcza z Saint-Luc, Persina, nie użalała się wcale, pomimo, że on wiedział dokładnie, ile biedna cierpi, i nieraz pocieszał ją, gdy byli sami.

Viola znosiła wszystko w milczeniu i czuła się nieco wynagrodzoną szacunkiem i przyjaźnią wszystkich tych, którzy ją bliżej znali. Służba uwielbiała ją po prostu, biedni i chorzy z całej okolicy błogosławili jej dobre serce, a ona, która dla siebie niczego nie pragnęła, wstawiała się za nimi u swego kuzyna i otrzymywała dla nich hojne wsparcia i jałmużny.

— Byłaś pani bardzo długo w kościele, — odezwała się nareszcie markiza ostro.

— Prosiłam pani o pozwolenie pójścia na nieszpory i odwiedzenia grobowca. Nie miałaś pani nic przeciwko temu, — odrzekła młoda dziewczyna spokojnie.

— Już dobrze, już dobrze. Proszę się teraz zająć nakryciem stołu. Będzie dziś u nas kilka osób, proboszcz Persin, doktor Border i mój szwagier, hrabia Lucyan!

— Ah, Lucyan przyjdzie tutaj? — zawołała Viola, rumieniąc się Ale oczy jej nie zabłysły radością, przeciwnie nawet, twarz jej zachmurzyła się widocznie.

— Tak, Horacy pojechał po niego na dworzec.

— Czy zanocuje tu? Przygotować jego pokój?

— Nie wiem. On sam dopiero to powie.

Viola pochyliła lekko głowę i zabierała się do wyjścia, gdy Gina zbliżyła się do matki.

— Pozwolisz mi, mamo, iść z Violą? — szepnęła błagalnie.

— Jeżeli ci to przyjemność sprawia, — odrzekła markiza z gniewnem spojrzeniem, — w takim razie nie myślę cię zatrzymywać. Idź, idź!

Gina pobiegła jak strzała do przyległego pokoju, w którym Viola wyjmowała już srebro z bufetu.

— Czekaj, cioteczko, — zawołała dziewczynka, — pomogę ci!

— Cicho, kochanie! Wiesz dobrze, że nie wolno ci nazwać mnie ciotką! Czy chcesz, abyśmy obiedwie dostały za to burę?

Gina wzruszyła ramionami i wskazała ręką na drzwi salonu.

— Jeżeli mama nie pozwoli kochać siebie, to dlaczegóż zakazuje mi ciebie kochać?

— Nie powinnaś tak mówić, upominała Viola, — nie wolno ci krytykować życzeń matki.

Gina chciała odpowiedzieć, ale w tej samej chwili rozległ cię turkot zajeżdżającego przed zamek powozu. Gina zbliżyła się do okna.

Papa i stryj Lucyan, — rzekła.

— W takim razie musimy się spieszyć, zawołała Viola.

W kilka minut później weszło dwóch mężczyzn do wielkiej sieni zamkowej a ztamtąd udali się wspaniale rzeźbionemi schodami na pierwsze piętro, gdzie lokaj odebrał ich płaszcze i kapelusze. Starszym mężczyzną był właściciel zamku, markiz Horacy de Plessis, wysoki, przystojny, z głową nieco pochyloną, jak zwykle ludzie, którzy wiele umysłowo pracują. Ciemne jego włosy i krótko przystrzyżona broda były już trochę siwizną przypruszone, a wązka, blada twarz zdradzała na pierwszy rzut oka uczonego. I rzeczywiście, markiz Horacy był niezmordowanym badaczem archeologii, genealogii i heraldyki, i oddawał się studyom swoim z takim zapałem, że dla jakiego starego wykopaliska zapominał o wszystkiem w świecie. W charakterze i usposobieniu bardzo był podobnym do swej kuzynki Violi, był łagodnym, uprzejmym, czasem nawet nieśmiałym, ale w głębi serca posiadał niezmiernie wiele energii i niczem niewzruszonej wytrwałości.

Jego młodszy brat Lucyan zupełnie był innym człowiekiem. Średniego wzrostu, szczupły, zręczny, ubierał się zawsze podług ostatniej mody i przedstawiał typ wytwornego „złotego młodzieńca.“ Z tem wszystkiem był on bardzo wykształcony i uzdolniony i stosunki majątkowe zmuszały go też do korzystania z swej wiedzy. Jako syn młodszy całkiem podupadłej staroszlacheckiej rodziny, wiedział oddawna, że środki pieniężne, jakiemi mógł rozporządzać, nie wystarczą ani w przybliżeniu na wygodne życie próżniacze, pomimo, że bezczynność byłaby mu daleko milszą, niż mozolna praca. Hrabia Lucyan, młodsi bowiem synowie mieli tytuł hrabiego, studyował początkowo medycynę, ale gdy brat jego ożenił się z panną Lemarche, której ojciec posiadał wielką fabrykę chemiczną w Saint-Denis, wstąpił jako chemik do tejże fabryki. I tutaj zabrał się gorliwie do pracy i takie rozwinął zdolności, jakichby się nikt po nim nie był spodziewał.

Pan Lemarche płacił mu bardzo wysoką pensyą, osobiście jednak trzymał go zdaleka od siebie; zdawało się, że wytrawny ten kupiec nie ufał młodemu arystokracie i że czuł do niego pewną antypatyę, podczas kiedy brata jego, a swego zięcia, pokochał jak własnego syna. Lucyana obrażał taki brak zaufania do najwyższego stopnia, mianowicie szalona jego ambicya cierpiała niezmiernie z tego powodu. Jak chętnie byłby zamienił swoją posadę, przynoszącą mu przeszło 20,000 franków rocznie, na gorzej płatną posadę sekretarza pana Lemarche, z widokiem zostania w przyszłości jego pełnomocnikiem, a w końcu — następcą! kilka razy już dawał mu do zrozumienia, jak gorąco pragnie zostać jego sekretarzem, i zapewniał uroczyście o swej wierności, ale pan Lemarche zdawał się nie rozumieć jego życzeń i nie wierzyć zapewnieniom.

Pewnego dnia, chcąc się pozbyć nieustannych jego próśb, rzekł mu otwarcie pan Lemarche:

— Moja córka nie życzy sobie, abym dał panu miejsce sekretarza i wtajemniczył cię we wszystkie sprawy. Ponieważ cały jej majątek po matce znajduje się w mej fabryce, przeto muszę uszanować jej wolę, a zresztą jestem oddawna już przyzwyczajony do wypełniania wszystkich jej życzeń. Jeżeli pan zyskasz sobie względy Laury, i jeżeli ona zmieni swoje zdanie, w takim razie ja sprzeciwiać się nie będę!

Od tej chwili dążył Lucyan do jednego tylko celu, to jest do uproszenia bratowej, aby się za nim wstawiła u ojca, ale raz, gdy ją usilnie o to prosił, otrzymał odpowiedź, od niej, że nie ma do niego dostatecznego zaufania. Laura potrafiła doskonale rachować i wiedziała bardzo dokładnie, ile kosztowało zbytkowne życie i książęce prowadzenie ich domu, nie chcąc więc zmniejszać swoich dochodów, tylko przeciwnie, powiększać je, wzbraniała się oddać fabrykę, źródło owego bogactwa, w ręce szwagra.

— Dlaczego nie masz do mnie zaufania? — pytał Lucyan, drżąc z gniewu.

Laura wzruszyła ramionami i milczała.

— Dlaczego? powtórzył hrabia. — Powinnaś mi to powiedzieć!

Ale markiza spojrzała na niego wyniośle i wyszła z pokoju.

— Dorobkiewicze! — szepnął Lucyan. Wiedział jednak, że nie może cisnąć im w oczy pogardą, jeżeli pomimo wszystkiego chce dojść po celu. I znów minęło kilka lat, gdy nagle umarł dotychczasowy sekretarz pana Lemarche. O następcy jego nikt jeszcze nie wiedział, więc też Lucyan czynił co mógł, aby zyskać wymarzoną posadę. Pan Lemarche przecież pozostał niewzruszonym i odpowiedział mu znowu:

— Wybór sekretarza nie zależy odemnie, tylko od mej córki. Tylko wtenczas dam panu to miejsce, jeżeli ona zgodzi się na to!

Ciemne oczy Lucyana zabłysły złowrogo. Czy nigdy nie osięgnie bogactwa, którego tak pragnie? Obecnie liczył on już 36 lat, jeszcze więc tylko cztery lub pięć lat, a najgorętsze jego życzenia spełnią się! Pan Lemarche stary już i zmęczony pracą, wspominał nieraz, że za kilka lat zamierza wycofać się z fabryki — gdyby więc Lucyanowi udało się zostać teraz jego sekretarzem i poznać wszystkie szczegóły prowadzenia fabryki, to z chwilą ustąpienia pana Lemarche, stałby on się panem całego zakładu. Na Horacego zważać nie potrzebowałby wcale, bo ten cichy uczony nie zna się na niczem. I tylko kaprys kobiety stoi mu na przeszkodzie w osiągnieniu milionów?

Takie myśli zajmowały Lucyana, gdy teraz z bratem wchodził do salonn bratowej.

— Czy markiza jest samą? — zapytał jeszcze służącego, otwierającego podwoje.

— Tak, panie hrabio.

— Postaraj się o to, abym z Laurą mógł kilka słów pomówić bez świadków, — szepnął Lucyan bratu. — Wiesz, o co mi chodzi!

— Dobrze, — odrzekł markiz, a zwracając się do służącego, dodał: — proboszcza i doktora wprowadź najpierw do mego pokoju!

— Moja rozmowa z Laurą nie będzie trwać długo — rzekł Lucyan, i cieszyłbym się, gdyby zaraz potem podano obiad. Muszę dziś koniecznie wrócić do Paryża pociągiem o ósmej.

Horacy wydał służącemu potrzebne rozkazy, poczem udał się do swej pracowni,w której zwykle razem z swym sekretarzem i przyjacielem, panem Bisonem, badał stare kroniki i wykopaliska.

Lucjan tymczasem wszedł teraz do salonu i zbliżył się do bratowej, która nie ruszając się z miejca, nie podała mu nawet ręki i nie wymówiła ani jednego słowa powitania. Głęboka tylko fałda na czole była dowodem, że wejście szwagra było pięknej kobiecie wielce nieprzyjemnem.

— Dobry wieczór, Lauro! Dlaczego nie wróciliście jeszcze dotąd do Paryża? Zima zawitała już na dobre, a wy ciągle bawicie jeszcze na wsi! Cały wytworny Paryż, do którega najpiękniejszych ozdób należysz przecież, dziwi się, że salony wasze zamknięte!

— Niepotrzebnie dziwią się ludzie, odparła markiza chłodno, bo my przyjmujemy dopiero z początkiem grudnia, często później nawet. Ale nie mówmy o tem! Powiedz mi lepiej, po co tu przybyłeś, domyślam się bowiem, że bez celu nie przyjechałeś. Proszę mi więc w krótkich słowach wyjaśnić....

— Bardzo chętnie — przerwał Lucyan, przysuwając sobie krzesło, otóż Revel umarł, i ja chciałbym zostać jego następcą!

– Powinieneś był udać się najpierw do mego ojca.

— Uczyniłem to, ale on posłał mnie do ciebie, nadmieniając, że postąpi tak, jak ty sobie życzysz. Proszę cię więc serdecznie Lauro, nie odmawiaj mej prośbie! Cała moja przyszłość leży w twych rękach!

— Revel był z zawodu inżynierem — odrzekła markiza spokojnie — myślę więc, że następca jego powinien nim być także.

— Ale poprzednik jego nie był inżynierem, a pomimo to nie szły interesa fabryki nigdy tak świetnie, jak pod jego administracyą.

— To było zupełnie co innego. Mój ojciec wykształcił go sam i wypróbował jego wierność dostatecznie.

— Do mnie zaś nie masz zaufania?

— Nie, bo uczeń mego ojca pracował dla nas, ty pracowałbyś dla siebie. Jestem przekonaną, że za kilka lat należałaby cała fabryka do ciebie.

Lucyan zacisnął pięści.

Więc nienawidzisz mnie? szepnął ochrypłym głosem.

— Nie, pogardzam tobą! — brzmiała zimna odpowiedź Laury.

Hrabia zerwał się, jak gdyby go kto w twarz uderzył, a oczy dzikim błysnęły ogniem.

— Posada twoja — mówiła Laura dalej, przynosi ci rocznie 22,000 fr. Wystarcza to aż nadto! Musisz się tem zadowolić, bo sekretarzem nie zostaniesz nigdy.

— Jest to twoje ostatnie słowo?

— Bezwarunkowo ostatnie!

— Strzeż się, Lauro, strzeż się!

— Czegóż mam się obawiać? — rzekła markiza dumnie, wstając z fotelu. List, który dziś od ciebie otrzymałam, podobną zawierał groźbę, ale to mnie wcale nie przeraża! — i z szyderczym uśmiechem dodała jeszcze: — Wola sama nie wystarcza na szczęście do usunięcia niewygodnej osoby, inaczej....

W tejże chwili wszedł lokaj z oznajmieniem, że obiad na stole, i że markiz czeka już w sali jadalnej. Laura, umiejąca zawsze panować nad sobą, zmusiła się w obecności lokaja do uprzejmego uśmiechu i wsuwając rękę pod ramię drżącego z wściekłości szwagra, poszła z nim do sali, w której oprócz markiza i sekretarza jego, znajdowali się: proboszcz Perrin, młody lekarz Bordier, Viola i Gina.

Stół nakryty był z wyszukanym przepychem. W jasnych promieniach świeczników i lamp błyszczały ciężkie srebrne zastawy i kosztowne kryształy, a jedwabny obrus ginął kompletnie pod mnóstwem wonnych kwiatów, które Laura namiętnie lubiła i które sobie trzy razy w tydzień sprowadzała z Nicei. Róże,heliotropy i gwoździki wydzielały w całej sali woń prawdziwie odurzającą.

Podczas kiedy markiza witała gości, zbliżył się Lucyan do Violi, stojącej na boku z Giną. Gdy przenikliwe oczy kuzyna spoczęły na twarzy Violi, zadrżała młoda dziewczyna mimowoli i oparła się o poręcz krzesła. Po chwili stał Lucjan przed nią.

— Cóż to, boisz się mnie? — szepnął, zauważywszy jej zmieszanie.

Viola usiłowała uśmiechnąć się i poruszyła przecząco głową, ale twarz jej nie rozchmurzyła się wcale.

— Czemu pytasz? — odrzekła.

— Bo spostrzegłem, że zbladłaś jak śmierć, gdy się do ciebie zbliżałem.

— Gorąco tu niezmiernie, kwiaty zaś, które markiza tak bardzo lubi, sprawiają mi ból głowy.

— Więc każ je wyrzucić — zawołał Lucyan głośniej, ponieważ Gina zbliżyła się teraz właśnie do stołu.

— Czyż mam prawo do tego? — szepnęła Viola smutnie. — Jak możesz wogóle mówić coś podobnego!

— Jesteś zanadto dobrą i zanadto ulegasz despotyzmowi innych. Z tem wszystkiem jesteś o wiele piękniejszą i wytworniejszą niż ta nowo utytułowana markiza...

— Przestań już Lucyanie, proszę cię!

— Czujesz się niezdrową? — zapytał Lucyan znowu, wpatrując się przenikliwie w twarz kuzynki.

— Mówiłam ci, że głowa mnie boli, ale nie zwracaj na mnie tak podpadająco uwagi. Sprawiasz mi tem wielką przykrość!

— Możebyś pani raczyła skończyć rozmowę — dał się teraz słyszeć ostry głos markizy — i pozwoliła zająć miejsce mojemu szwagrowi.

Viola zbladła a oczy jej napełniły się łzami. I podczas kiedy Lucyan, posłuszny wezwaniu bratowej, usiadł obok niej przy stole, zbliżyła się młoda dziewczyna do proboszcza, który ująwszy jej rękę, szepnął jej kilka słów serdecznej pociechy. Markiz tymczasem rozmawiał żywo z gośćmi o starych urnach, które znalazł w Wrześniu w okolicy zapadłego opactwa, w blizkości zamku Taucya, należącego również do niego. W nawpół zaś zawalonej wieży znalazł sporą paczkę prastarych dokumentów, nad przeczytaniem których mozolnie teraz pracował wraz z sekretarzem swoim, panem Bisonem. Doktor Border przysłuchiwał się uważnie tej rozmowie, Lucyan jednak nudził się śmiertelnie i spoglądał raz po raz na zegarek.

— Musisz koniecznie zgodzić się na moją prośbę, kochana Lauro — zawołał markiz w uniesieniu i pojechać ze mną przed powrotem do Paryża, do Taucyi. Jestem przekonanym, że znajdę tam jeszcze więcej skarbów!

— Bardzo chętnie, jeżeli ci na tem tak bardzo zależy — odrzekła markiza uprzejmie — ale pod warunkiem, że pojedziemy sami.

— Bez Violi i Giny? — zapytał markiz zdumiony.

— Tak!

— Ale ty kochasz Gaskonją i twój kraj rodzinny — rzekł markiz z uśmiechem do Violi, — i mogłabyś pomódz mi w szukaniu dokumentów i zabytków przedhistorycznej cywilizacyi!

— Tak, ale skoro chodzi o Ginę... — odpowiedziała młoda dziewczyna drżącym głosem — to o innych rzeczach nie wolno mi myśleć.

Gdy po obiedzie podano czarną kawę, oznajmił lokaj Lucjanowi, że powóz, mający go odwieść na stacją kolejową, zajechał. Ksiądz i doktór chcieli również pożegnać markiza, i poboszcz wracając się do Bisona, dodał jeszcze półgłosem:

— Odprowadź nas pan do połowy drogi!

— Ja także — zawołał wesoło markiz, który przypadkiem dosłyszał tych słów. — Nie pozwolę wam iść samym, zatopicie się w rozmowie, zapomnicie o czasie, i Bison będzie jutro zmęczonym i niezdolnym do pracy. Pójdę z wami, aby Bisona wcześnie przyprowadzić do domu.

— Nie zostaniesz ze mną Horacy? — zapytała pani Laura męża.

— Jeżeli tego koniecznie żądasz... ale co prawda, wolałbym się trochę przejść. Głowa boli mnie — twoje kwiaty zanadto silny mają zapach.

Markiza milczała, twarz jej przecież wyrażała takie oburzenie, że doktór Border, który chętnie byłdy jeszcze pozostał, nie miał odwagi ofiarowania jej swego towarzystwa i wraz z innymi wyszedł do przedsionka. Równocześnie wbiegła przeciwległemi drzwiami młoda, bardzo piękna dziewczyna, zdradzająca na pierwszy rzut oka cudzoziemkę, Hiszpankę lub Włoszkę, ubiór jej zaś, skromny, lecz gustowny wskazywał, że zajmowała tutaj miejsce bony lub drugiej nauczycielki.

Na widok dziewczęcia pokryła się twarz doktora gorącym rumieńcem.

— Pójdziesz pani z nami? — zapytał cicho. — Wieczór taki pogodny, jasny...

— O, pragnęłabym się przejść... — odrzekła zmieszana, — ale panna Viola każe mi pewnie zaprowadzić Ginę do sypialni...

— Więc i ja będę wam towarzyszyć, Janko — zawołała Gina wesoło. — Myślę, że cioteczka pozwoli na to!

— Nie, kochanie — brzmiała stanowcza odpowiedź Violi. — Powietrze zimne nie służy ci, wiesz o tem niestety aż nadto dobrze, powiedz wszystkim dobranoc i idź z Janką do swego pokoju. Ja sama odprowadzę panów do końca parku i wrócę zaraz do ciebie.

Po chwili wyszło całe towarzystwo na rampę zamkową, na której stał powóz dla Lucyana. Powietrze było rzeczywiście zimne, ale pogodne; miliony gwiazd błyszczały na ciemnem niebie, a w środku świecił w całej pełni księżyc, Lucyan zbliżył się do Violi.

— Boli cię jeszcze głowa? — zapytał.

— Tak!

— W takim razie powinnaś odbyć dłuższą przechadzkę. Idź ze mną aż do lasu, powóz wyślę naprzód — na pociąg zdążę dosyć wcześnie.

— Ah, to wyborna myśl — rzekł markiz. — Świeże powietrze uzdrowi cię zupełnie. Idźmy więc!

Viola nie dała się długo prosić. Otulona ciepłym płaszczem i szalem wyszła na dziedziniec i przyjęła z wdzięcznością ramię Lucyana. Pomimo, że nie piła dziś przy obiedzie ani kropli wina, czuła się dziwnie słabą i zmęczoną, a w głowie jej szumiało i wrzało nieustannie. Jakaś senna bezwładność ogarniała jej członki, tak, że z trudnością szła dalej. Markiz szedł naprzód z księdzem i doktorem, potem toczył się wolno powóz, którego zapalone latarnie oświecały drogę, a za powozem postępował Lucyan z Violą, ale odległość pomiędzy nimi a resztą towarzystwa zwiększała się z każdą chwilą.

Po upływie dwudziestu mniej więcej minut zatrzymał stangret konie.

— Czemu nie jedziesz dalej? — zawołał markiz.

— Pan hrabia kazał mi tu stanąć — odrzekł stangret. Doktor wyciągnął zegarek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Starosta Wilczek.

Powieść oryginalna historyczna z czasów Zygmunta III

(Dla „Pracy“ nadesłał B...)

(Ciąg dalszy).

6.

Wynędzniała długą boleścią, z wrytą w ziemię źrenicą siedziała wsparta na łokciu w samotnej swej komnacie pani Wilczkowa. Słońce jesienne zmierza ku zachodowi, cisza na dworze, cisza w komnacie. Czasem ją tylko zakłóci niezrozumiałem słówkiem trzechletni Wacławek: „Matko! nie smuć się; tatko powróci. Ja wiem, bo mi pan Drozdowski powiadał.“ Ona się zrywa, ściska, tuli do siebie chłopczynę i łzami oblewa, i znowu marzy smutnie. Wtem się drzwi otwarły, wszedł Drozdowski.

— Mościa pani! jakiś wojak oddał to pismo pod moją niebytność. Wróciwszy z miasta dopytywałem się wszędy o niego, ale jakby się w ziemię zapadł. Powiadają mi tylko, że coś nie z polska był ubrany, z resztą nic nie wiedzą. Tak ci to, kiedy człowieka nie ma, to się wszystko opak dzieje.

Odebrała z obojętnością ten list starościna. Lecz któż pojmie jej radość i trwogę, gdy poznała pismo drogiego Tomasza. Rozrywa i czyta.

„Najdroższa Zofio! Ten sam Bóg, co ludowi swemu dał zwycięstwo nad niewiernymi, nie chciał, bym się wspólnie z wami cieszył. Ciężko raniony w boju, dostałem się w ręce wroga, który mnie skutego w żelaza już wprowadzał w głębie państw swych. Ale tenże sam Bóg Wszechmocny tej ostatniej nie dał mi doczekać hańby, bym jako prosty niewolnik krwawym potem czoła wysługiwał się okrutnemu panu. Stargane siły, ciężka niemoc, już mnie rzuciły na łoże śmierci. Wkrótce przeniosę się do wieczności, spokojny przynajmniej, że wśród oswobodzonej z jarzma umieram Ojczyzny! O was litościwy Ojciec wszystkich sierot radzić będzie. Nie bluźń świętym Jego wyrokom, najukochańsza żono! przyjm spokojnie cios, którym mu nas dotknąć pozwolił, a szanuj zdrowie dla sierot naszych. Pamiętaj mi zawsze o nich!... Przyciskam was wszystkich do ojcowskiego łona i błogosławię!“

Piorun kary niebios nie razi tak winowajcy, jak te słowa wstrząsnęły duszą niewiasty. Najokropniejsza boleść ścisnęła jej serce, padła na sofę i wśród ciężkich łkań ledwie te słowa wyjęczeć mogła: „Więc nie ma cię już dla mnie, drogi Tomaszu, straciłam cię na wieki! O czemuż los okrutny, co ciebie mnie wydarł, nie zawarł mnie w jednej z tobą trumnie?,.. Czemuż o nieba! zostawiacie jeszcze na tym cierpień padole nieszczęśliwą ofiarę waszej srogości!...“

Po tych jękach oblicze jej bladość oblała śmiertelna, sine wargi mocno się ścięły, krew w żyłach bić przestała, Ledwie po długiem trzeźwieniu wrócono życie nieszczęśliwej. Westchnęła: „Nie masz cię już, najdroższy Tomaszu!“ a łzy lały się z jej oczu.

Drozdowski na wskroś i stratą pana i cierpieniem żony jego wzruszony, szlocha, jak bóbr, gdy mu tygrys jedyne wydrze dziecię. Biega samotny, do nikogo słowa nie rzeknie; dopóki mu łzy nie ulżą na sercu. Potem zmusza twarz do dawnej swej wesołości, przychodzi do swojej pani i znowu pociesza.

— Cóż tam mościa pani! że tak starosta nasz napisał? Jeszczeż nam przecie nikt nie doniósł, żeby nam Pan Bóg go zabrał, chociaż prawie cały kraj nasz zbiegały posły. A wszakżeż jeszcze w Polsce pisał ów list jegomość pan nasz. Oczywista rzecz, że Bóg wrócił mu zdrowie i dalej poszedł z Turkami. A gdy tak jest, czegoż nam się troszczyć? A toż to jeden z naszych wędrował z chamem Turkiem w Jassyr? Rabuś nie głów, lecz złota przyszedł szukać w naszej Polsce. Nie troszcz się mościa pani! skoro się wywiem o naszym panie, ja sam pojadę z okupem, a choćby się i z samym Sułtanem rozprawić przyszło, przysięgam na moję siwiznę, że wydobędę starostę i tu do Sokołowa przywiozę. Przecież i Król Jmść nie odmówi nam swojej pomocy do powrócenia krajowi tak wielkiego pana, tak znakomitego męża i do szabli i do rady. Utul mościa pani te żale! a chowaj zdrowie dla jegomości starosty. Bóg zasmuci, Bóg pocieszy!

Z wdzięcznością przyjmuje starościna to przywiązanie wiernego sługi, mile, chociaż w milczeniu, słucha jego pociech. Ale one nie wybiją z jej pamięci własnych męża. Choćby wreszcie chciała jakiekolwiek roić nadzieje, jest tylko słabą istotą, kobietą, której wydarta spokojność, a dusza rzucona w odmęt najczarniejszych marzeń. Łzy jedne mogą uśmierzyć jej boleść; wiara w istnienie męża już nie wróci!

Druga część

1.

Płyną dnie, miesiące, lata, jak myśli człowieka. Świeże zdarzenia czas z sobą w przeszłość unosi i mgłą pamiątek zawłóczy. Rany serca krzepną i nikną, najkrwawsze nawet bliźnią się pod jego balsamem. Od pobicia Turków rok siódmy mija, w grodzie starosty Wilczka wielkie pozachodziły zmiany. Zrazu szlochy, płacze, dalekie poszukiwania, a gdy i posły króla do Stambułu wyprawieni, nawet śladu o staroście nie zachwyciwszy z potwierdzeniem oznaczonej przez niego śmierci wrócili, nowe silniejsze nastąpiły jęki w całej rodzinie, długie posty i modły, uczty dla ubóstwa i gruba żałoba. Dziś czas żałoby i smutku już dawno minął. W zamku zamarłe zmartwychwstało życie: huk w nim znowu i wrzawa, jak niegdyś, za pana. Często zjeżdżają się goście z bliskich i dalekich sąsiedztw, wspaniałe uczty, napełniają hałasem biesiadników zapleśniałe mury.

Cóż się dzieje z starościną, nieutuloną w żalu po stracie męża, we łzach bezsennie trawiącą noce? I ona już spokojna, uśmiecha się, bawi z towarzyszkami, rówiennicami rodu i majątku. Chodzi nawet głucha pogłoska, że jakiś bogaty podwojewodzic z Ukrainy ubiega się o jej rękę.

„Głos ludu, głos Boga“, mówi stare jak świat przysłowie. Ciche domysły, wkrótce już są jasną pewnością. Niektórzy mówią, że starościna niby odrzuca zaloty dorodnego panicza, i rady natrętnych swatek; przecież, gdy w świetnym sług rzędzie zagrzmi przed zamek złocista kolasa, zatętnią ogniste Ukraińce, i wyskoczy cudny młodzieniec i z uszanowaniem do ust gorących śnieżną przyciśnie rękę, miło jej jakoś na sercu, spogląda nań z tajemniczym uśmiechem. Cóż gdy złote słówka grackiego chłopca, głośnego w walkach, za wolność rycerza, drasną uroczym swym szmerem po sercu niewiasty?... Któreż serce kobiety nie ulegnie pod tą przemocą złudzeń czarodziejskich?

Stary Drozdowski nie bez oburzenia patrzy na te zaloty podwojewodzica. Jak tylko może zamruczy starościnie:

— Mościa pani! jeszcze tam nigdzie nie napisano, że nasz starosta nie żyje! Mościa pani! Bóg jest wszechmocny i sprawiedliwy!

Te groźne przestrogi wyrywają z słodkich marzeń starościnę. Bo, chociaż przekonana, że wiara w życie męża jest tylko urojeniem opryskliwego starca, jednak jakiś głos wewnętrzny wyrzuca jej tak nagłą zmianę uczuć, tak szybkie zatarcie pamięci Tomasza!... Smutne myśli trapią duszę niewiasty; wstydzi się nawet swoich postępków i na zawsze wyrzeka. Cóż? gdy w tem zaraz, jakby duch zwodniczy, wciska się do serca obraz dorodnego podwojewodzica, w blasku wszystkich cnót swoich, a za nim myśli: o dziatwie osieroconej, niszczejącym majątku... Zadumała się, i wzrok jej pomimowolnie zwrócił się na papier na poboczy leżący, tam te słowa: „Pamiętaj mi zawsze o nich...“ Błyskawicą rozpogodziło się chmurne oblicze starościny, oko jej smętne wesoło zabłysło. Może dusza zwaliła tłoczący ją ciężar?... Ucałowała ostatnie pismo drogiego Tomasza.

2.

Wybuchły w tem nowe wojny korony z Szwedami. Podwojewodzic urzędem, powinnością obywatela znaglony, musi stawać pod orły państwa. O jakże chętnie wyrzekłby się dzisiaj sławy, imienia! jakże chętnie zamieniłby wspaniałe swe gody, złote herby na lepiankę i prostą odzież wieśniaka, który w pokoju może uprawiać swą ziemię, podczas gdy pan jego życie swe losowi wojny powierza? Ach! tuby on obok ulubionej Zofii mógł pędzić, może wkrótce, najszczęśliwsze chwile życia, śnić najsłodsze marzenia na łonie tej, bez której grobem dla niego świat cały! A teraz musi rzucać ją,

rzucać, może na zawsze! Ale żelaznem hasłem woła wyższa powinność. Zagrzmiały trąby i kotły obozowe: na koń kwiecie młodzieży, tarczo Ojczyzny! Pierś podwojewodzica zawrzała okropną boleścią, rzewnemi łzami zlał rękę oblubienicy, ona go czule żegnała, ruszył do obozu.

Odjazd zalotnika od małżonki drogiego pana rozchmurzył oblicze murgrabiego. Nie taił stary sługa przed swoją panią uczucia, jakie na nim sprawił.

— Mościa pani! chwała bądź Bogu, że nam wyprawił z domu tego gacha! Bo to, choćby człek czasem i żelazem opasał swą duszę, bies znajdzie miejsce, którem się do niej wkręci. A trudno, trudno, po uczynku odpokutować za grzech!

Westchnęła starościna, zamyśliła się i nic nie odrzekła. Może do tego powodem dziwaczny jej humor, bo od dni kilkunastu pani, jak sobie powiadają dworscy, nie swoja. Mało mówi, często się zaduma, marzy, często westchnie. Może pamięć Tomasza, napomnieniami Drozdowskiego odnowiona, na nowo zran ła jej serce; a może i co innego ją dręczy. Któż to odgadnie? Starościna tajemnice duszy mocno zawarła na wrzeciądz milczenia! Tylko częściej się teraz bawi z dzieciaczkami; rzeknie do nich z westchnieniem: biedne sieroty! jak wy potrzebujecie ojca!... i zaduma się smutnie.

3.

Po roku zakończyła się wyprawa na Szwedów. Wieść przyszła do Sokołowa, że podwojewodzic zdrów i wkrótce tam zawita. Kilka krewnych tego pana, które niby to pod pozorem rozrywania nudnych chwil starościnie, w rzeczy zaś tylko dla ułowienia serca dla niego, rzadko nawet na dzień nie opuszczały sokołowskiego zamku, najpierwsze z tą wiadomością do niej przybiegły. Sędziwa pani cześnikowa, ciotka podwojewodzica, po długim, dobrze wymyślonym wstępie tak dalej mówiła z przybraną słodyczą i rzadką spokojnością:

— Kochana Zosinku! jużby też czas pewnie było zdecydować się. Majątek twój, porzucony chciwym tylko zysku zarządcom, niszczeje, dzieci bez opieki, a pamiętasz, co ci względem nich zalecał ś. p. pan Tomasz, Panie świeć nad jego duszą? Ty sama bez podpory, w najlepszych latach. Chceszże tak gnuśnieć w samotności, rozstać się z światem, który ci się jeszcze tak mile uśmiecha? Namyśl się Zosinku! Stefan (tak było imię podwojewodzicowi) wkrótce, jak wiesz, tu przybędzie. Będzieszże odrzucać tak godnego młodzieńca, w którym uroda, imię, majątek, sława, szlachetne serce, wszystko tak pięknie połączone jaśnieje? A jak on do ciebie przywiązany, czy jeszcze mało masz dowodów?

Na to wszystko starościna odpowiadała milczeniem, ale widać po spokojnej jej twarzy, że rady nie krom serca idą.

— Jakbyś w mojej duszy czytała jaśnie wiel. cześnikowa, ozwała się żywo pani Wojska, takoż daleka krewna podwojewodzica, otóż to samo chciałam ci powiedzieć, moja Zosinku. Dodam tylko do tych arcysłusznych rad jeszcze, że onegdaj mówiłam o tobie i twych zamysłach z jegomość księdzem officyałem; zupełnie się zgodził ze mną, że nie masz czego czekać Zosinku! tylko iść za pana Stefana. Powody do tego masz tak wielkie. A cóż ci stoi na przeszkodzie? Przecież nie aby, przez Boga! pomruki starego murgrabiego, któremu dla podeszłego wieku już się i w głowie dobrze przewracać zaczyna. I gniew człowieka bierze. W całem państwie już wszyscy obżałowali śmierć ś. p. jegomość starosty, a on... Ale, któżby tam zważał na starego... Najsłodszy Jezu!

Chociaż dusza starościny zupełnie już się była zgodziła na to, co jej doświadczeńsze doradzały przyjaciółki; jednak długo jeszcze trwało, nim rzekła stanowczo: a więc niech i tak będzie!

4.

W Sokołowie dziś nadzwyczajna uroczystość. Zbliżył się dzień zaślubin staróściny, podwojewodzicowej. Na gody weselne zjeżdża się mnóstwo gości. Ogniste rumaki zataczają bogate kolasy, kolebki przed zamek. Z nich wyskakują w złocistych żupanach, kontuszach, ferezyach i litych pasach krzepkie młodzieńce, i poważni wolno po wyniosłych stopniach skaczą starce. A za nimi świetnie przybrane panny, sędziwe matrony, podwojewodzianki, staroście, wojskie i t. d. Po zamku szasta i zawija się służba, zastawia licznemi srebry i złotem pana starosty długie stoły. Młoda panna w śnieżnej szacie, z rozmarynem i myrtą na skroni, świeci jak lilia wśród bluszczów jesiennych w gronie otaczających ją w osobnej komnacie swatek i druhen. Pan młody także cudnie przybrany w bogaty kontusz i żupan, z karabelą przy boku wysadzaną rubinami, z twarzą rumianną weselem, wita przybywających panów, cieszy się jak dziecię, które nie wie, co troska życia.

Zbliżyła się godzina czwarta z południa, i wszystko udało się do kaplicy, gdzie kapłan związał ręce nowożeńców.

Po ślubie huczne w zamku gody, hulanka i tany. Wiwaty z grzmotem haubic na wałach grodowych huczą pod niebo zdrowie młodego państwa. Podwojewodzicowa dotąd jakiemiś smętnemi dręczona przeczuciami, porwana nawałnicą powszechnej radości, zapomniała o smutkach, bawi się wesoło, miluchno pogląda na nowego męża, może marzy o szczęściu straconem? Kiedy w pośrodku najhuczniejszej zabawy rozległ się jęk przeraźliwy w bocznych komnatach. Wybiegają wszyscy, i zastają Drozdowskiego bez duszy. Stary sługa nie mogąc znieść hańby swojej pani, jak się do ostatniej wyrażał chwili, umarł z ciężkiego żalu apopleksyą tknięty.

Smierć jego najokropniej dotknęła podwojewicową. Zbladła, zemdlała; po dotrzeźwieniu zapadła w ciężką niemoc.

5.

Zakończyły się gody, goście rozjechali do domów. W zamku znowu cicho, tylko smutniej. Bo pani, chociaż za staraniem biegłych lekarzy odzyskała zdrowie, straciła po ostatnim wypadku całą swoję wesołość i żywość. Niegdyś róża płonąca w całym blasku swego przepychu, dziś schnący kwiatek na mogile wędrowca! Widać po wynędzniałej i wyblakłej twarzy ślady jakichś okropnych zgryzot duszy. Naprózno tysiące zabaw wymyśla dla niej przywiązany małżonek, naprózno najweselsze umysły licznych przybyszów starają się przerywać okropne jej marzenia. Dziś to wszystko martwem, nawet nieznośnem dla ciężko zranionej duszy niewiasty. Jedne pieszczoty z dziećmi, z któremi całe dnie przepędza, zdają się jeszcze uciszać jej tajne cierpienia. Ale noc, to niezmierzone pole rozpamiętywań, to wszystko wraca w trójnasób. Budzi się z snów nieszczęsna, gorzko płacze i wzdycha.

Podwojewodzic do żywego tknięty tą niedolą żony, serce by swoje dla niej wydarł z piersi, by ją tylko, choćby na chwilę uspokoić. Nadaremnie wszystko. Ona go kocha, jak tylko może kochać serce przywiązanej, poczciwej kobiety, bo on swą łagodnością tak jej przypomina Tomasza; ale w jego sercu nie ma już dla niej balsamu pociechy.

Nikt nie wie, podwojewodzicowa miała po zgonie Drozdowskiego sen okropny, w którym ukazał się jej nieboszczyk i groźną prawicą wyrzucał złamanie wiary staroście. Czegoż więcej potrzeba do pognębienia zupełnego duszy tylu cierpieniami strzaskanej! Ale poczciwa, przywiązana żona ukrywa powód tajnej, trawiącej jej zgryzoty przed mężem.,.

Tak w smutkach płynie dzień za dniem, tydzień za tygodniem, nadeszła wreszcie dziesiąta wiosna od pobicia Turków.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złote myśli.

Rodzicom przy miłości surowość przystoi;
Syn niech ich bardzo kocha, a także się boi.
A kiedy go rodzicee nie trzymają karnie,
Znajdzie w zbytkach chorobę, nieraz zginie marnie.

W. Rzewuski.

* * *

Rodzicom należy się miłość, uszanowanie, posłuszeństwo.
Chcecie mieć wdzięczne dzieci, bądźcie wdzięcznemi dziećmi.

Krasicki.

* * *

Jeśli chcesz być zaszczytu przodków twoich godny,
Wskaż nam, żeś i w postępkach od nich nieodrodny.

Gorczyczewski.

MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Pan Mateusz poczynał powoli przychodzić do siebie, wzdychał ciężko i jakiś kamień widocznie opadał mu z serca. Iście tak będzie — mówi w duchu do siebie, był ranny i przyszedł do zdrowia, a tu powiedzieli o nim, że już nie żyje. Temu wszystkiemu winien ten Michał niecnota.

— Ej Bożeż mój, Boże! to pan takoż jeszcze przy życiu! jakże mnie to cieszy! A my tu myśleli, że pana na prawdę zabili. Takem się pana w pierwszej chwili przeląkł, nagadają człowiekowi tyle różnych rzeczy, że niewiedzieć gdzie od nich głowa stoi. O, cieszę się mocno, a takem się mocno turbował za panem i tak mi pana żal było. Chwałaż Panu Bogu memu, o cieszę się mocno.

Poczciwy pan Mateusz Gruszka w pierwszej chwili nie dowierzał własnym oczom jeszcze, oglądał Stanisława z wszystkich stron ciekawie, wreszcie kiedy się istotnie przekonał, że to on sam a nie kto inny, huknął z całej piersi: chwałaż Bogu! ta to nasz pan Stanisław żywy, żywy! i chwycił go w otwarte ramiona.

Ściskaniu i witaniu nie było końca, a było prawdziwie serdeczne. Czeladź podchodziła jeden po drugim do kochanego, jak mówili pana, i patrzeli z uwielbieniem na niego i każdy miał mu coś serdecznego do powiedzenia. Pan Stanisław rozglądał się po wszystkich twarzach i brakowało mu tu kilku znajomych. O tych mówili drudzy, że rzucili warsztat, że ich od kilku miesięcy już nie ma, że poszli tam, gdzie idą wszyscy, i że nie wiedzieć co się z nimi dzieje, który przy życiu, a którego już nie ma.

Wojtek był najlepszym wyobrazicielem ogólnej radości; krzyczał: „wiwat“ z całego gardła, rzucał w górę patynkami, przeskakiwał stołki i wywracając koziołka nadtłukł sobie głowę.

Rozpowiemy teraz w jaki sposób został uratowany Stanisław. Michał odszedł go bezprzytomnego, leżał w krwi własnej i dawał tylko słabe oznaki życia po sobie. Zbierający na pobojowisku trupy zbliżali się wprawdzie do miejsca gdzie leżał, ale nie dostrzegli go osłonionego krzakami. W ten sposób przeszedł dzień cały, trupy pogrzebano i porozchodzili się ludzie; wieczorem było w lesie pusto i cicho, w koło nie było nigdzie żadnej żyjącej istoty. Chłód wieczoru i wieczorna rosa otrzeźwiły rannego, przychodził powoli do przytomności, dziwił się swemu położeniu i ciszy dokoła, nad sobą widział pogodne, gwiaździste niebo, koło siebie widział tylko krzaki zielone i konary drzew. Długo wypytywał siebie, gdzie jest i co się z nim stało, wreszcie ból rany przypomniał mu całe położenie i ranne z Michałem rozstanie, trwoga ścisnęła mu serce, zaparł oddech w piersiach, podsłuchiwał długo czy nie dosłyszy ludzkiego głosu, lub zbliżających się ku niemu kroków, zdawało mu się, że lada chwila rozstąpią się przed nim gałęzie i wysunie się z za nich sołdat mający go wywlec z ukrycia, by go rzucić między trupy do głębokiego dołu.

Było cicho, ludzkich głosów nie było słychać, nie zbliżały się kroki, próżna była obawa, nie rozsuwały się krzaki i żadna ludzka postać nie wysuwała się z za nich.

Długo tak leżał przysłuchując się głuchej ciszy, jaka panowała dokoła, w trwożliwem wyczekiwaniu tego co najbliższa chwila przyniesie. Godziny się wlekły leniwe, rannemu ciężyła ciężko na piersi każda sekunda, dziwił się czemu ten czas tak długi, zastraszała go otaczająca samotność i cisza, patrzył w gwiazdy po niebie rozsiane i widział jak niektóre z nich spadały i gasły w przestworzu; był bardzo smutny, zdało mu się, że i jego gwiazda wnet zgaśnie.

Tyle ludzi na ziemi — myślał w duszy, a przy mnie nie ma żadnego człowieka. Ściskało mu serce jego straszne opuszczenie, było mu tęskno za ludźmi, zjawienie się jakiejkolwiek istoty byłby uważał za największe szczęście, modlił się gorąco, aby mu Bóg zesłał na pomoc człowieka, czuł, że w opuszczeniu wnet zginie.

Żądza ocalenia, ten popęd naturalny, który przewyższa wszystkie inne w człowieku, dodała mu siły, z wielkiem wytężeniem podniósł się ze ziemi, przyklęknął, przykrył się płaszczem i trzęsąc się od nocnego chłodu, niepokojony obawą począł się od miejsca oddalać, na którem próżnoby był wyczekiwał ratunku.

Sunął się na kolanach z cieżkością, pomagając sobie jedną ręką, drugą rękę przyłożył do bolącej piersi, chroniąc ranę od wstrząśnienia, lub od przypadkowych uderzeń; nizkie krzaki i wystające z ziemi korzenie tamowały mu drogę, krzaki musiał obchodzić, przez korzenie przewlekał się z trunem, jęcząc z bólu za każdem podniesieniem kolana.

Wlekący się w ten sposób nie mógł ujść w najdłuższym czasie znacznej przestrzeni, tem bardziej, że co chwila odpoczywać musiał. Każdy krok naprzód był dziełem niezmiernej pracy i trudu, po każdym takim kroku spierał się ręką o ziemię, zimny pot występował mu na czoło, zagryzał ból i wypocząwszy chwilę, posuwał się dalej.

Już bladły gwiazdy na niebie, gdy Stanisław wyczołgawszy się z krzaków dostał się pod las na otwarte pole, które zeszłej nocy było widownią potyczki. Trupów nie było już na niem, tylko małe kałuże zastygłej krwi zalegały je w różnych odstępach. Nad pierwszą kałużą zatrzymał się ranny, sądząc, że wodę deszczową mieści, umaczał w niej rękę, wstrząsł się i otarł ją o ziemię, gdyż zobaczył przy świetle księżyca, że była czerwona.

Nachodziły go dziwne myśli, owładały go nieopisane uczucia; chwilami zapominał nawet o cieleśnym bólu, taka go nachodziła tęsknota, tak mu było żałośnie i rzewnie. Są chwile w życiu człowieka, gdzie mu całe życie przed oczyma staje, w takich chwilach zapomina o teraźniejszej rzeczywistości i ściga wspomnieniem ubiegłe mary przeszłości; Stanisław rozmyślał o doli całego swojego sierocego żywota, stawała mu na oczach Marya i zdało mu się, że widzi ją smutną i płaczącą po nim. Westchnął z głębi serca i wołał: Maryo, gdybyś wiedziała jaki ja opuszczony i nędzny, zapłakałabyś nademną! wycieńczony na siłach, targany bolami duszy i ciała nie mam gdzie głowy położyć, nie ma nikogo, coby mi podał pomocną rękę, przyjdzie mi tu zginąć a ty się nigdy nie dowiesz, ile wycierpiałem.

Dalej się czołgać brakło rannemu siły, położył się w znak na ziemi, na piersi skrzyżował ręce i leżał tak zdając się na opatrzność, przygotowany do cierpliwego znoszenia wszelkich jej zrządzeń.

Ranek począł już świtać a on leżał jeszcze nieruchomy na miejscu i gasła w nim nadzieja otrzymania jakiejkolwiek pomocy od ludzi.

Słońce już stało wysoko na niebie, gdy jakiś niedaleki szelest wzbudził jego uwagę, podsłuchiwał długo, zdało mu się, że słyszy ludzkie głosy. Rzeczywiście z każdą chwilą przybliżał się szelest i głosy były coraz wyraźniejsze; przybliżający się w jego stronę ludzie, zatrzymywali się często na miejscu, rozmawiali i dopiero po dłuższej rozmowie szli dalej. Byli to chłopi ze wsi dość odległej; ciekawość sprowadziła ich na pobojowisko, ci co wczoraj od sołdatów przypędzeni grzebali trupy, opowiadali powróciwszy do domu straszne rzeczy o ich wielkiem mnóstwie i o głębokim dole, w który je wrzucono; zebrało się kilku gospodarzy i wyszli z domu o świcie, ciągnęło ich do oglądania miejsca, gdzie się tyle krwi ludzkiej przelało; teraz wstrzymywali się nad każdą jej kałużą, robili sobie różne uwagi i wzdychali za ludźmi, którzy poginęli; szli oglądnąć mogiłę wzniesioną nad ciałami poległych, czasem schylił się który i podnosił z ziemi nieforemną, spłaszczoną bryłkę ołowiu, przypatrywał się jej ciekawie, potem podawał do obejrzenia drugim i dziwili się wszyscy małemu kawałkowi ołowiu, którego przeznaczeniem było zabijać człowieka.

Głośne wołanie o pomoc zatrzymało ich uwagę.

— Coby to było? pytali siebie i szli za głosem.

— Może to także jaki zabity woła? — powiedział jeden bez wielkiego namysłu.

— Skoroby był zabity, pewnieby nie wołał — odpowiedział mądrzejszy.

— Może się w lesie ostał jaki ranny? — domyślał się trzeci — może nie wiedzieli o nim i on tam teraz umiera.

Przyspieszyli kroku, aby się prędzej dowiedzieć, kto to woła o pomoc. Jeden wysunął się przed wszystkimi naprzód, dojrzał Stanisława, zakrzyknął zdziwiony, poskoczył ku niemu i zawołał:

— Żywy, żywy! chodźcie prędzej, ludzie.

Przyspieszyli wszyscy i obstąpili kołem rannego, litowali się nad nim, wielu miało łzy w oczach, zadawali mu różne pytania: gdzie go boli? czy cierpi wiele? czy dawno już tak leży bez wszelkiej ludzkiej pomocy i wreszcie w jaki sposób się to stało, że zbierający trupy sołdaci nie zabrali go z pobojowiska?

Stanisław był przytomny, odpowiadał w krótkości na zadawane mu pytania, wreszcie prosił o spieszną pomoc dla siebie.

— Tak tu leżeć nie mogę, zabierzcie mnie z sobą, moi dobrzy ludzie, ja wam trud wasz wynagrodzę sowicie.

— My nagrody nie będziemy żądać od pana, człowiek bliźniemu powinien pomagać w nieszczęściu — odpowiedziano mu chórem.

— Jest tu gdzie dwór w pobliżu? — zapytał ranny.

— A jest ztąd niedaleko, może będzie dziesięć wiost do niego.

— To mnie tam zaprowadźcie.

— Paneczku, a gdziebyście wy o własnych siłach tak daleko uszli! my by was i zanieśli sami, ale z tem by dużo było mitręgi i ciężko dla paneczka samego; najlepiej by to było odwieźć na wozie do miejsca, ale zkąd tu wziąść woza na prędce? tak blizko ta nigdzie nie ma chałupy.

Po długiej naradzie uchwalono wreszcie, że co najskorszy ze wszystkich wróci się do domu i przyjedzie spiesznie z słomą dobrze wyścielonym wozem, by odwieść rannego, reszta przy nim zostanie.

— A weź z sobą i mleka w dzbanku — przypominali mu drudzy, paneczek się może pożywi, jużci cały dzień w gębie nic nie miał

— A przywieź także i gorzałki we flaszce — dorzucił inny, może się paneczek zakropi: o gorzałka to na wszystko jest dobre lekarstwo.

— Nie mówcie człowiecze nikomu we wsi, poco się nazad wracacie — napominał odchodzącego Stanisław, bójcie się Boga, nie mówcie, że tu ranny leży w lesie, gdyby się dowiedzieli Moskale gotowi by zlecieć zaraz tu po mnie.

— Jako żywo, paneczku, u nas we wsi nie ma ani jednego Moskala, nie widzieliśmy ich od jakich pięciu niedziel, oni teraz tylko przesiadują po miastach, albo po lasach za panami szukają, nie ma się czego strachać, paneczek tu między nami bezpieczny.

Stało się, jak uradzone było. Ten co poszedł do wsi, powrócił nad samym wieczorem z drabiniastym wozem. Wsadzono na wóz rannego, dano mu napić się mleka, częstowano go i wódką, lecz skoro stanowczo odmówił, przyjęcie podobnego traktamentu, wypito ją za jego zdrowie do kropli.

Jeden z ludzi kierował końmi, drugi się przysiadł do pomocy rannemu, poczciwa gromadka życzyła mu szczęśliwej podróży, on dziękował im z całego serca za okazane współczucie i za wszelką udzieloną pomoc, życzył im dobrego powodzenia i oddawszy ich opiece Bozkiej rozstał się z nimi.

Zawieziony do dworu Stanisław został naturalnie otwartemi rękami przyjęty, sprowadzono do niego najspieszniej lekarza, ten go opatrzył sumiennie i zadecydował, że rana jakkolwiek ciężka i niebezpieczna nie będzie śmiertelna i nie pociągnie żadnego wyraźnego kalectwa za sobą.

Długo nie wstawał z łóżka Stanisław; przebył ciężką gorączkę i życie jego kilka razy wisiało na schyłku, lecz dzięki własnej dobrej konstytucyi, zabiegom młodege lekarza i troskliwemu pielęgnowaniu gospodarstwa, wyszedł z niebezpieczeństwa i po pewnym przeciągu czasu poczynał powoli przychodzić do sił i do zdrowia.

Szło to tak przez kilka miesięcy. Stanisław się niecierpliwił, rwało go do Warszawy, do Maryi, rwało go do czynu... ale konieczność trzymała go na miejscu w uwięzi.

Wreszcie po długiem bardzo oczekiwaniu nadeszła chwila, gdzie mógł bez narażenia na szwank zdrowia opuścić swoje schronienie. Pod własnem nazwiskiem nie mógł do Warszawy powracać, gdyż wiedział, iż tam bezpieczeństwa nie było, jeszcze przed opuszczeniem Warszawy podejrzywała go o rewolucyjne zamiary władza i już wtedy był śledzony przez różne indywidua, chcące się wcisnąć w tajemnice jego czynności; cóżby dopiero stało się teraz, gdzie go tak długo w Warszawie nie było? uwięzionoby go niechybnie.

Na wszystko znalazła się rada. Wójt najbliższej gminy wydał mu paszport na obce nazwisko. Sam dał sobie ostrzydz głowę i ogolić własny zarost jasnych wąsów i brody, natychmiast znalazły się w sąsiedztwie fałszywe do przyprawienia wąsy i broda, przebrał się w suknie zupełnie odmiennego kroju, jakiego niezwykł był dotąd nigdy używać, i zamaskowany nie do poznania w ten sposób, jechał do Warszawy prostym chłopskim wózkiem, naganiając bezustannie do pospiechu woźnicę, tak mu pilno było dojechać do miasta, gdzie płakała po nim nic nie wiedząca o jego losie Marya, przekonana niechybnie, że już od dawna nie żyje. Myślał nad tem: czy ją bardzo jego niespodziewany powrót ucieszy; zarazem robił sobie wyrzuty, że już pierwiej nie postarał się o przygotowanie do niego Maryi i o przesłanie wiadomości o sobie.

Widzimy teraz Stanisława w Warszawie, i towarzyszymy mu w odwiedzinach u szewca, pana Mateusza Gruszki.

* * *

Pan Mateusz Gruszka cieszył się Stanisławem solennie, podejmował go u siebie w warsztacie gościnnie, przeprosił po wszelkiej formie za to, że on, szewc prosty, chce jego, pana — gościć u siebie.

— Co szewc to szewc, co pan to pan — mówi, posłałem chłopaka po wino; mości dobrodzieju, dalibóg nie uchybiam panu, ale napijemy się po szklaneczce razem. Jużcić i ja także nie jestem wcale chłystkiem i nie jeden taki co się panem mieni mojej szewskiej pięty nie wart, ale dla zacnego pana mam zawsze najgłębszy szacunek i mości dobrodzieju, nie taki ja głupi, abym się chciał z nim równać.

Przyniósł chłopak wino, pan Mateusz nalał, przepił do gościa, gość przepił do pana Mateusza i szło wszystko tym trybem jak to się zwykle w podobnych wypadkach między ludźmi dzieje.

Gość i gospodarz rozmawiali głośno to o tem, to o owem, ten mówił swoje, a ten swoje, ten pytał, ten gadał i szła pogadanka.

— Bo to wie pan — mówi między innemi pan Mateusz — my wszyscy prawie myśleli, że pan już aktualnie nie żyje; ano zabili, to umarł i cóż myśleć inszego? jeszczeby temu Michałowi człowiek był tak dokumentnie nie uwierzył, ale jakżeż mogło być inaczej, kiedyśmy widzieli własne pańskie pismo, co to je pan przysłał do tej panny, co to z matką mieszkają na Pradze; nosiła je Wojtkowa matka, była tu u mnie i sama wyraźnie mówiła, że tam napisane było, że pana zabili i że pan już nie żyje; mówiła Wojtkowa matka, że panna bardzo płakała po panu i że skoro tylko przeczytała tę kartkę, rozchorowała się z żałości ciężko.

— Rozchorowała się! ona chora, biedna! i ja ją w takiej zostawiam niepewności; za dnia nie mogę tam chodzić, bo by mnie widzieli i mógłby mnie kto poznać, pójdę skoro tylko zmrok zapadnie. I nie wie pan, nie mówiła nic ta kobieta co jej takiego?

— Zkądże ona mogła wiedzieć akuratnie co pannie takiego? wiedziała tylko, że zachorowała z żałości po panu.

— I bardzo jest chora?

— Jako żywo zdrowa jak rybka. Była chora, ale już przyszła do zdrowia; co jej brakuje? mówiła mi onegdaj Wojtkowa matka, że się nawet już za mąż wydaje za jakiegoś wielkiego hrabiego, zapomniałem jak on się nazywa, ma być jakiś słuszny człowiek, niebardzo, niebardzo serdeczny, ale polityczny.

Stanisław zbladł jak ściana i zerwał się na równe nogi ze stołka.

— Co pan powiedział! — zakrzyczał, Marya za mąż idzie! to jest fałsz wierutny, to być nie może! któż to panu o tem powiedział?

Pan Mateusz przeląkł się gwałtownością swego gościa.

— Powiedziała mi tak Wojtkowa matka, czy słusznie, czy niesłusznie, tego już nie wiem, bom się dalej o to nie pytał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Powrót.

Dźwięki...zapachy...wonnych szumów tony.
Kędyś się z dna mej duszy wypromienia
Mar niepochwytnych szereg uskrzydlony,
I sny mi jakieś powstają z uśpienia...
Och, wiem... och pomnę... z oddaleń przesłony,
Coś mi się marzy... sny li to?... wspomnienia?...
Nie wiem... i wiem znów... znam je... rzekłbym prawie,
Że gdzieś mojemi były w jakiejś jawie.

Och, wiedzieć!... wiedzieć!... czyli już umarłem...
I grobu mego rzuciwszy próchnicę,
Kędy zasnąłem zwyciężonym karłem,
W zaświatów złote wstąpiłem stanice?
Czy nieśmiertelne już oko otwarłem
Na bytów nowych przeczutą tajnicę?...
Anioł nademną stanął rozełkany
I ciche dłonie kładzie mi na rany.

Anioł z zadumą u bladego czoła,
Z słodką ukojeń poświatą na twarzy...
Dziewica... znałem gdzieś tego Anioła,
Kędyś już blask ten, co oko mu żarzy,
Palił się... nie wiem... Oto na mnie woła...
Głos ten... wiem... był gdzieś... i znów coś się marzy...
Rozkołysaną głosem tym, w objęcia
Wziął duszę... dziwne szepcze jej zaklęcia:

„O wstań! o wstań!...
Na snów twych zorze,
Na wzlotów szczyty,
Na pragnień niespełnionych morze,
Na twych upadków krwawą grań,
Na sztandar tęsknot z łez uwity,
Na koralowe serca rany —
Zaklinam cię,
Duchu zbłąkany,
O wstań!... o wstań!...

O wstań!... o wstań!...
Na nowe zorze,
Na nowe świty...
Łodzi pędzonej w wód bezdroże
Skróś tęsknej fali wiecznych drgań,
Przynoszę żagiel złotolity.
Żagiel miłości mej rozwiany
Łódź twą pchnie
Na oceany,
O wstań!... o wstań!...

O zbudź się, drogi... na serce twoje
Rąk mych litosne kładę powoje;
Duszy zbolałej ziejącą ranę
W lilje spowinę niepokalane;
U wieńca twoich cierniowych mąk
Płomiennej róży zaplotę pąk.
O pójdź!... o pójdź!
O pójdź, kochany... ja ci w pokorze
Pod krwawe stopy dłonie położę,
Przez wiar straconych, złudzeń kurhany
Ja cię powiodę w kraj zapomniany...
I w zórz ci nowych promienny świt
Rozwianych marzeń wyzłocę mit.
O pójdź!... o pójdź!... kochany!“ *B. Ar...*

Komedyantka.

I.

W prastarym zamku hrabiego Jerzego Shegedy, zegar wydzwonił przeszło od kwandransa godzinę obiadową, a pan domu nie schodził ze swej pracowni, położonej na wyższem piętrze.

Młoda małżonka, nieco zaniepokojona, miała zamiar udać się na górę, gdy nagle rozsunęły się portyery jadalni.

Hrabia wszedł. Wyglądał przerażająco. Bez słowa wyjaśnienia usiadł na zwykłem miejscu i zadzwonił na służbę.

— Co ci, Jerzy? Czyś chory? — pytała hrabina troskliwie.

Mąż zacisnął pięści, gotów do wypowiedzenia wszystkiego, co mu leżało na sercu...

Ale w tejże chwili wszedł służący z wazą na srebrnej tacy.

Hrabia przywdział maskę obojętności. — Obiad przeszedł pośród głuchego milczenia, którego przerwać nie śmiała młoda kobieta w obec groźnych zmarszczek, fałdujących czoło męża.

Po deserze hrabia powstał zwolna i spojrzawszy żonie prosto w twarz, rzekł tonem rozkazującym:

— Jutro wyjedzie pani do moich posiadłości w Vambery... Proszę się nie obawiać — dodał z okrutną ironją. — Za trzy dni ja się tam zjawię.

Hrabina spoglądała na męża wzrokiem zdziwionym, zadając sobie pytanie, czy biedak nie został dotknięty nagłym obłędem.

— Zkądże ta groźna mina, Jerzy? — pytała. — Powiedz... Co tobie?..

— Co mi jest? Co mi jest?

Obejrzał się w około, przekonawszy się, że drzwi szczelnie pozamykane, wyciągnął z kieszeni żółtą kopertę, związaną różową wstążeczką, i rzucając ją gwałtownie, rzekł:

— Oto—co mi jest!

Koperta, z której wysunęły się listy, odbiła się o twarz hrabiny z odgłosem policzka.

Kobieta padła odurzona na fotel.

Hrabia szybko opuścił jadalnię.

II.

Od lat pięciu życie hrabiostwa Shegedy płynęło niezbyt wesoło, ale spokojnie i szczęśliwie.

Dumny magnat, pokochawszy aktorkę, od roku zaledwie bawiącą na scenie, wyrwał ją z dotychczasowego otoczenia, zanim zastanowić się zdołała nad zmianą losu, i z pośród niepokojów i niedostatków, towarzyszących pierwszym debiutom, przeniósł na tło majestatycznego przepychu i arystokratycznego dostojeństwa.

Przytłaczała ją wprawdzie „wielkość“ małżonka, który, raz w życiu pohołdowawszy namiętności, imponował jej stale wielkopańską dystynkcyą i upokarzał pogardliwą nieufnością, odnoszącą się do sfery, w której żyła poprzednio.

Nazbyt wielka różnica wychowania i wyobrażeń, oddzielająca ubogą córkę chórzystki od przedstawiciela jednego z pierwszych rodów węgierskich, wytworzyła pomiędzy małżonkami stosunek etykietalny, którego zmienić nie zdołała nieśmiałość młodej kobiety, poczuwającej się wciąż do wdzięczności, choć w głębi serca czasami odzywała się tęsknota za bezpretensyonalną swobodą i nieziszczonemi marzeniami artystycznych aspiracyj.

Czasu do rozmyślań miała hrabina aż nazbyt wiele.

Mąż jej, zbyt dumny dla narażania żony na przykrości towarzyskie, zerwał zupełnie ze światem, żył w odosobnieniu, oddając się ulubionym studyom historycznym. Jedynie siostra jego, księżna Tekely, z anielską dobrocią wielkiej damy wniknąwszy w smutne położenie młodej kobiety, odwiedzała ją od czasu do czasu, zabierała na spacery, darząc serdecznością, za którą wykolejona z pośród swoich, a obca pośród nowego otoczenia, hrabina żywiła dla niej wdzięczność bezgraniczną.

Sama wychodziła niewiele, ograniczając się na wycieczkach do okolicznych biedaków, którzy przywodzili jej na pamięć wspomnienia przebytej niedoli.

Zwykle wspomnienia owe ponawiały w niej uczucie wdzięczności dla człowieka, który wzniósł ją do takich wyżyn; dziś po raz pierwszy ujrzała, iż wyżyny owe postawiły ją po nad — przepaścią.

III.

Rozkaz hrabiego spełniony został bezzwłocznie.

Pobyt w ponurej rezydencyi Vambery śród całkiem nowego otoczenia, (gdyż żadnemu ze służby nie pozwolono towarzyszyć pani), przedstawiał się bardzo smutno.

Małżonkowie widywali się jedynie przy stole, a wtedy niezamieniali ze sobą ani jednego słowa.

Hrabina zmizerniała do niepoznania. Na twarzy jej osiadł niepokój nerwowy; owoc dręczących walk i szamotań. Rysy hrabiego zaostrzyły się, przywodząc na myśl oblicze kamienne — posiwiał zupełnie.

Od czasu do czasu Teresa zdobywając się na odwagę, pukała do drzwi pracowni swego małżonka, pragnąc usprawiedliwić się, wytłomaczyć.

Ale hrabia pozostawał niewzruszonym.

Sam widok tej, którą podniósł do godności swej małżonki, którą obdarzył znakomitem nazwiskiem wprawiał go w chorobliwe rozdraźnienie.

I mijał dzień za dniem pośród samotności, która wytwarzała oddalenie stokroć srozsze od przewlekłej rozłąki.

Pewnego dnia wreszcie, Teresa, wtargnąwszy do pracowni, rzuciła się do stóp męża z żałosną skargą.

— Wybacz mi, Jerzy i wysłuchaj. Ja nie powinnabym była tego uczynić, ale...

Nie pozwolił jej nawet dokończyć. Nie spojrzawszy na nią, opuścił pogardliwie pokój.

Wtedy nieszczęsna kobieta, widząc, że trzeba się chwycić ostatecznego środka, powstała i osuszywszy łzy, zbliżyła się do biurka... Po pewnem wahaniu nakreśliła słów kilka, poczem wysunęła się z cicha.

W oczach jej błyszczał promień nadziei.

W kilka dni później, hrabia wziął do ręki wilgotne jeszcze pismo.

Ale po pierwszych zaraz słowach zaczął szydzić zjadliwie:

— Ha... Ha... Nie złą wymyśliła bajkę na swoje usprawiedliwienie... Szkoda tylko, że za wiele czasu zużyła na sfabrykowanie tych bredni... Śmie utrzymywać, że listy nie do niej były pisane!.. Niewiniątko!... Oddano jej niby listy w tajemnicy, pod przysięgą. Intryga teatralna! Zapomina, że nikt nie żył i niktby nie chciał żyć z ex panną Fifi *z Wodewilu*... Ha... ha... A to się załapała... Uważa mnie za bardzo naiwnego....

Zerwał się i szybkiemi krokami zaczął przebiegać komnatę, monologując w dalszym ciągu. Śmiech zgryźliwy zeszedł mu z twarzy; zastąpiło go uczucie dojmującego bólu. Szeptał:

Dałem jej nazwisko. Uczyniłem bogatą, szczęśliwą. Kochałem ją, ufałem. Zawiodła mnie haniebnie.... Dlaczego? Dla kogo? Taka to już w nich widać żyłka do fałszu.

Śmiertelnie przygnębiony zbliżył się do stołu. Po chwili nowy atak wściekłości nim ogarnął. Zmiął list i rzucił go do ognia, płonącego na kominku.

IV.

I znowu dzwon zamkowy dał się słyszeć, wzywając małżonków do wspólnego stołu.

Dnia tego przymus był jeszcze bardziej dotkliwym. Kilkakrotnie zaniepokojony wzrok Teresy czatował trwożliwie na spojrzenie męża.

Ale hrabia pozostał milczącym, zaciętym, niewzruszonym; udawał, że nie dostrzega jej mimiki rozpaczliwej. Gdy po skończonym obiedzie wstawał, dla udania się do swoich apartamentów, Teresa, nie mogąc zapanować dłużej nad sobą, pobiegła ku niemu, i z oczyma pełnemi łez zapytała:

— Czy czytałeś?

A on na to:

— Kłamstwo...

— Pozwól wytłomaczyć,..

— Ani słowa więcej. Mam, czego chciałem. Komedyą raczy mnie — komedyantka.

Wyszedł.

Hrabina wydała okrzyk rozdzierający i zemdlała.

Przez całą noc bredziła. Nazajutrz wywiązało się gwałtowne zapalenie mózgu, po kilku dniach wyzionęła ducha, nie odzyskawszy ani na chwilę przytomności.

V.

Pogrzeb odbył się z całą wspaniałością.

Po odbytej ceremonii Jerzy zakopał się nadal w samotności, szukając daremnie ulgi dla zranionego serca w pracy.

Od czasu do czasu listy siostry jego, księżnej Tekely, przywodziły mu na pamięć rodzinę, ale korespondencya owa sprawiała mu ból niewytłomaczony, gdyż księżna niejednokrotnie w słowach pełnych tkliwości poruszała wspomnienie zmarłej.

— Gdyby ona wiedziała! — myślał hrabia — przerywając czytanie dręczony poczuciem hańby i niecnej zdrady.

Pewnego razu braterstwo zapowiedzieli swe odwiedziny na Wielkanoc. W *post scriptum* dodawała księżna:

„*A propos*. Gdy do was przybędę, musisz mi oddać pewną paczkę, którą zechciej odszukać w papierach biednej Teresy. Jest to żółta koperta, obwiązana wstążeczką różową. Powierzyłam ją twojej żonie z prośbą o dyskretne przechowanie... Dyskrecyi owej takiemu dżentelmanowi jak ty zalecać nawet nie potrzeba.“ *C. S.*

Krzyżyk.

Jak tej pszczółce wiosną z ulu
Na miodowy kwiat,
W drogę trzeba mi, matulu!
Między ludzi w świat, matulu!
Między ludzi w świat!
Pójdę, pójdę w obce strony
Szukać doli swej...
Jeno mi was żal — rodzonej
I chateńki tej — omszonej
I chateńki tej!
Jeno nie wiem, nie zgaduję,
Co mi z sobą brać?
Czem kobiałkę wyładuję?
Sami chciejcie dać, matulu,
Sami chciejcie dać!
Jeno nie wiem, nie popadnę,
Jak poczynać mam —
Kiedy szczęściu klucz odgadnę!
Co mi przynieść wam? nie zgadnę!
Co mi przynieść wam?
. . . .
Dali matuś krzyżyk drzewny
Synaczkowi w dłoń
I szkaplerzyk od królewny,
Pochylili skroń — w płacz rzewny!
Pochylili skroń...
„Nic nie potrza mej starości,
Niech cię wróci Bóg!
Jeno ludzkiej mi miłości
Nanieś za ten próg, synaczku,
Nanieś za ten próg!“

K, Laskowski.

Nasze illustracye.

Cyganie w Polsce.

(Do illustracyi albumowej).

Skąd się wzięli cyganie w Europie, kwestya ta dotąd nie jest jeszcze zupełnie wyświetloną; większa część uczonych jest jednakże zdania, iż kolebki ich szukać należy nad brzegami Gangesu, albowiem narzecza cygańskie, których 15 stwierdzono w Europie, wskazują na pochodzenie indyjskie cyganów. O przyczynie, która skłoniła ich do opuszczenia pierwotnych siedlisk, nic nie wiadomo, a nawet wśród cyganów nie przechowało się żadne podanie pod tym względem. W Carogrodzie, w dzisiejszym Konstantynopolu, ujrzano po raz pierwszy cyganów w r. 810 pod panowaniem cesarza Nikeforosa. Na wyspie Krecie pojawili się oni w r. 1322, a około r. 1370 na Wołoszczyźnie. Do Węgier przybyli cyganie w r. 1417, podczas gdy kroniki czeskie już rok przedtem wspominają o nich jako o zjawisku wcale nie nowem. Do Polski i Rosyi przybyli około roku 1500, a do Szwecyi w r. 1512. W r. 1447 ujrzano ich w Hiszpanii, a prawie równocześnie też w Anglii i Niemczech. Od tego czasu cyganie prawie w niczem nie zmienili trybu życia, a do cywilizacyi europejskiej czują wstręt nieprzezwyciężony.

Bandy cygańskie podlegają pewnemu rodzajowi zwierzchności, uchylającej się od kontroli ustawodawstwa europejskiego; nadto uchodzi za pewne, że cyganie z grona swego wybierają królów, którzy posiadają nieograniczoną władzę. Podczas uroczystości obchodzonych dość często przez cyganów, otaczają się oni iście bajecznym przepychem i bogactwem, zwłaszcza w klejnotach i drogich szatach, nie licującem wcale z ich życiem koczowniczem.

Wędrujące po Polsce bandy cygańskie zaspokajają potrzeby życiowe w różny sposób; jedni żebrzą, przepowiadają przyszłość łatwowiernym lub dopuszczają się przy sposobności kradzieży, — drudzy jako kotlarze naprawiają uszkodzone garnki bab wiejskich lub trudnią się handlem końmi, przyczem dopuścić się oszustwa uchodzi za rzecz honorową. Niekiedy oprowadzają niedźwiedzie lub małpy, nauczone różnych sztuczek, co stanowi dla nich niepoślednie źródło dochodu.

Liczba cyganów w Europie dosięga miliona, z którego połowa przypada na samą Turcyę, podczas gdy Węgry goszczą w swych granicach przeszło 80.000 owych śniadych, niemile widzianych nieponiów.

S. Wcz.

Kronika.

„Coraz gorzej i gorzej“, takie utyskiwanie słychać zewsząd, ilekroć mowa o wciąż nowych zamachach niemczyzny na narodowość naszą. Słuszne to wyrazy skargi, ale myli się stanowczo ten, kto całą winę pogarszających się stosunków zwala wyłącznie na rząd pruski, jego organa i hakatystycznych wampirów, pałających żądzą wyssania ostatniej kropli krwi z serc polskich. „A cóż to za bałamuctwa gada p. Chochlik, któż wszystkiemu winien, jeźli nie Niemcy“, tak powie może niejeden z Czytelników, przeczytawszy, że całej winy złego na wrogów naszych składać się nie godzi. A mniej jeszcze ogólnej opinii może odpowiadać będzie twierdzenie drugie, a mianowicie, że bardzo wiele klęsk, spotykających narodowość naszą, zadajemy sobie sami.

Najgłówniejszą z win naszych względem narodowości własnej jest brak konsekwencyi i równowagi w jej obronie.

W jednej chwili jesteśmy gotowi podnieść krzyk oburzenia na pogwałcenie praw naszego ojczystego języka, a w drugiej zaraz sami grzeszymy ich lekceważeniem. Ileż to razy nawoływała już „Praca“, ażeby nie zapominać o mowie ojczystej tam, gdzie do posługiwania się obcym językiem nikt nas nie zniewala. I tak nieraz zupełnie niepotrzebnie wplatamy w tok rozmowy polskiej niemieckie wyrazy, psując lekkomyślnie to, co naszym największym skarbem, „arką przymierza pomiędzy dawnemi a przyszłemi laty“, co naszą świętością i dumą być powinno. A jakże często się zdarza, że na ulicy Polak rodaka swego zagaduje po niemiecku, pytając o drogę lub prosząc o inną jaką grzeczność. Niejestże to dobrowolnem zatwierdzeniem procesu wypierania ojczystej naszej mowy? Niejestże równie grzesznem, gdy do magazynów i restauracyi niemieckich i żydowskich, dla których narodowość polska nie istnieje, bo zgoła niema obsługi polskiej, drzemy się ustawicznie pomimo wszelkich bojkotów i tylu codziennych krzywd i przykrości, drażniących narodową ambicyą. Gdzie duma, gdzie własne poszanowanie polskości, o które na wiecach i zebraniach ustawicznie się krzyczy? I znów oto do redakcyi naszej nadesłano szczegół, że w oknie wystawnym pewnej kwiaciarni niemieckiej, gdzie się nawet rozmówić po polsku nie podobno, widniał przed kilku dniami z czerwono-białemi wstęgami wieniec ku uczczeniu ś. p. St. hr. Żółtowskiego w uznaniu patryotycznych zasług niebożczyka przeznaczony. Cóż to za dziwna mieszanina uznania patryotyzmu z zupełnie spaczonem jego zrozumieniem?

Szczególnego przykładu zlekceważenia własnego narodowości polskiej dostarczył też zeszły tydzień. Oto po licznych zabiegach i ciężkich ofiarach ludu polskiego dokonane zostało na św. Łazarzu poświęcenie nowej świątyni. Zdawałoby się, iż w murach przybytku, na który Polacy z małym wyjątkiem się złożyli, zabrzmieć powinna przedewszystkiem polska pieśń, polska modlitwa, akt zaś poświęcenia powinienby być połączony z przemową polską w pierwszym rzędzie. Aliści ku wielkiemu zdumieniu uroczystość upamiętniła się nasamprzód kazaniem niemieckiem z ust, co prawda polskich. Zapytać się godzi, czy mogło to się zgadzać z uczuciem tych, którzy głównie, jeśli nie wyłącznie z modlitwą polską na ustach zanosić będą w tej świątyni modły do Pana zastępów? Sądzę, iż to, co pokrótce przytoczyłem, starczy na usprawiedliwienie zarzutu, że sami nie szanujemy należycie praw naszej narodowości przysługujących. A grzeszne to bardzo nie tylko ze względu na nią samą, lecz także w wielu wypadkach, jak n. p. przy wspomnionem poświęceniu kościoła, na wiarę naszą. Lud nasz w wyobraźni i w sercu swem poczytuje *modlitwę i nabożeństwo w języku polskim* za rzecz nierozerwalną. Zdrowa jego dusza pojmuje dobrze, iż myśl wznoszona do Boga powinna być szczera, serdeczna i swobodna, a taką być może tylko, gdy się przyobleka w wyrazy *ojczystej* mowy. Ta dusza wierzy nadto, iż kościół katolicki powinien w miarę sił bronić jego duchowych pragnień, o ile są zgodne z moralnością. Narusza-jąc te wyobrażenia ludu, niewątpliwie narusza się także jego religijność i bogobojność.

Ostatnie dni znowu przyniosły złą wieść, że w powiecie raciborskim policya pilnie tropi za księżmi katolickimi z zagranicy, każącymi z ambony po polsku lub odprawiającymi nabożeństwo. Na cóż się to dzieje? Oto lud sam mówi sobie, że dzieje się to dla uszczuplenia polskiego słowa, płynącego z ust polskiego kapłana i osłabienia duchowej styczności pomiędzy duchowieństwem a ludem.

Tak czynią organa rządowe. Ale przecież my sami nie ułatwiajmy tej roboty ani w kościele, ani poza kościołem. Silniejszą zawsze będzie wiara ludu, gdy będzie widział współpracę kapłanów w szerszym zakresie jego duchowych potrzeb. Źleby czynił ten, ktoby od tej współpracy nasze duchowieństwo odrywał....

Chochlik.

W następnym numerze zamieścimy
3-ci malowniczy opis Wielkopolski
i to:

obu powiatów poznańskich

(wschodniego i zachodniego)

z miastami: Swarzędz i
Stęszewo,

z dołączeniem karty powiatowej,

różnych widoków okolic z pod Poznania, kościołów, dworów, typów wiejskich i t. d.

Następnie zamieścimy
4-ty malowniczy opis

powiatu Grodziskiego

z miastami: Grodzisk,
Buk i
Opalenica.

Dalej zamieścimy

5-ty powiat Krotoszyński

z miastami: Krotoszyn,
Dobrzyca,
Kobylin i
Zduny, dalej

6-ty powiat Strzeliński

z miastami: Strzelno i
Kruświca;

7-my powiat Kościański

z miastami: Kościan,
Czempiń i
Krzywiń;

8-my powiat Śmigielski

z miastami: Śmigiel i
Wielichowo:

9-ty powiat Gnieźnieński

z miastami: Gniezno i
Kłecko;

10-ty powiat Rawicki

z miastami: Rawicz,
Bojanowo,
Miejska Górka,
Jutrosin i
Sarnowa:

11 powiat Nowotomyślski

z miastami: Nowy Tomyśl i
Nowe Miasto.

Dalsze powiaty podamy później.

Szanownych Czytelników z poszczególnych powiatów prosimy usilnie o łaskawe nadsyłanie nam odnośnych kronik, dopisków, wspomnień, podań, legend, luźnych uwag z obecnej chwili i t. d., oraz fotografii, a mianowicie widoków miast i wsi, krajobrazów z okolicy, kościołów, klasztorów, pomników i t. d.

(Wszelkie fotografie odeślemy po natychmiastowem zdjęciu kliszy — zaraz z powrotem bez najmniejszego uszkodzenia.

☞ *Panowie fotografiści, którzy zechcą nam dostarczyć fotografii z odnośnych miast i okolic — otrzymają odpowiednie wynagrodzenie.*

Tak samo mogliby przysłużyć się sprawie panowie fotografiści-amatorzy — i liczymy na ich łaskawą pomoc.

Prosimy usilnie o łaskawe nadesłanie na razie illustracyi odnoszących się szczególnie do powyżej wymienionych powiatów.

Nasze plany.

Aby czytelnikom naszym dać dowód, jak bardzo się staramy o rozwój naszego pisma pod każdym względem, umyśliliśmy w najbliższym czasie wydać

szereg numerów specyalnych.

Zachęceni powodzeniem, jakiego doznały dotychczas wydane przez nas numery, a mianowicie *Mickiewiczowski*, *Sienkiewiczowski*, numer poświęcony *młodzieży*, numer dla *wychodźców*, dla *Górnego Śląska*, oraz numery z *opisem powiatów* Wielkopolski, wydamy teraz całą seryę nader oryginalnych, a cennych numerów specyalnych, które są już po większej części przygoto-

wane, i tylko nawał bieżącego materyału politycznego skłonił nas do chwilowego ich opóźnienia.

A więc wydawać będziemy w przerwach dwutygodniowych

numery z opisem Wielkopolski,

dalej wydamy jeszcze raz po jednym numerze

dla obczyzny

i

dla Górnego Śląska,

ponieważ w naszej tece redakcyjnej nagromadził się już wielki zapas nadesłanych z tych stron korespondencyi i artykułów, a zapewne niejeden autor listu już się niecierpliwi, dlaczego nie może się doczekać wydrukowania.

Lecz wszystkie te numery przewyższać będzie *prawdziwa niespodzianka,* jaką dla naszych czytelników zgotowaliśmy, zebrawszy już zupełnie rysunki i artykuły do czterech niezmiernie ważnych i cennych numerów, które się ukażą w ciągu przyszłego kwartału, a *przewyższą bezwątpienia wszystko, co kiedykolwiek „Praca" swym czytelnikom dała.*

Będą to następujące numery!

1. Opis

Krakowa,

tej starodawnej kolebki sławy i potęgi polskiej, ozdobiony licznemi a cennemi illustracyami, zarówno z przeszłości jak i teraźniejszości stanu miasta. Kto ma choćby najmniejsze pojęcie o tem, jak z historyą Polski zrósł się starodawny Kraków, ta siedziba odwieczna królów naszych, ten Rzym polski, ku któremu zwracają się tęskne oczy wszystkich i uszy nadsłuchują, ażali nie zadźwięczy pełnym, rozlewnym dźwiękiem ów stary dzwon Zygmuntowski, który tylokrotnie opowiadał światu o naszej chwale, — kto wie o tem, jak ściśle Kraków jest związany z naszą przeszłością, ten pojmie, że opis taki, jak my go podamy, będzie zarazem cenną pamiątką chlubnej przeszłości naszego narodu. Czy nasz wychodźca w dalekich Westfalii kopalniach, czy Wielkopolanin lub Zachodnio-Prusak, albo Ślązak, — każdy tam znajdzie naukę — i otuchę; — naukę, co ją wieki wiekom podają, że niema tak strasznej toni, z której by się nie podźwignął naród, który ma potemu wolę i chęć do pracy. — —

2. A czego nam nie powie starodawny Kraków, to nam dopowie

Warszawa.

Warszawie, tej „dumnej wdowie królewskiej", jak ją poeta nazywa, jej dniom blasku, chwały i rozkwitu, jej dniom ponurej grozy i rozpaczy poświęcimy drugie ozdobne wydanie „Pracy". Warszawa, co się nie ugięła pod najstraszniejszymi ciosami i z potopu krwi tylekroć rozlewanej zawsze podnosiła głowę i dziś jeszcze wciąż jest sercem i głową Polski, tętnem jej życia umysłowego — pokaże nam wnętrza swych opustoszałych dziś komnat królewskich, cichym szeptem i łzami spowiadać się będzie ze swych krzywd wiekowych, głośnym krzykiem bolu odezwie się na wspomnienie strasznej rzezi Pragi.

3. A potem cofniemy się myślą wstecz, do żródel historyi naszego narodu... Osobny numer „Pracy" poprowadzi nas nad

Kruświcę i Gopło,

przypomni starodawne baśni i legendy, gdy spłoszony orzeł biały po raz pierwszy wzbił się pod niebiosa zwycięzko z tych naszych wielkopolskich łanów, — gdy Piastów ród dzierżyć począł ster nad ludem polskim.

Nadto podamy cały szereg znakomitych portretów wybitnych hetmanów polskich, pędzla Gersona, aby lud nasz poznać mógł i z oblicza tych mężów sławnych, których bohaterstwo w boju, a rozum w radzie utrwaliły na zawsze w pamięci świata imię Polaka. W barwnym szeregu przesuną się przed naszemi oczyma surowy hetman Tarnowski, który więcej zwycięztw odniósł niż lat sobie liczył, choć w podeszłym wieku umarł, — i Jan Zamojski, kanclerz, któremu Polska chwile największej potęgi zawdzięcza, — i Żółkiewski, co pod Cecorą swą głowę położył na placu boju, bo się cofać nie chciał, — i Stefan Czarniecki, co jeden nie zwątpił, gdy wszyscy zwątpili, — i tylu i tylu innych, którzy ku chwale kraju dzierżyli buławę hetmańską. A dla illustracyi tych chwil, gdy Polska stojąc u szczytu potęgi i sławy, swe kresy widziała u morza i morza, dodamy pięknie wykonaną przez Walerego Eliasza

mapę ówczesnej Polski z herbami województw.

Każdy z naszych przyjaciół, który pamięta, z jak małych początków wzrastając przez lat kilka „Praca" pod względem technicznego i artystycznego rozwoju doszła do tego, że może wydawać takie np. numery jak opis Wielkopolski, będzie wiedział, że trzeba będzie napięcia całej energii naszych czytelników w zjednywaniu nowych abonentów, aby zrównoważyć olbrzymie koszta, które za sobą pociąga wydanie tych numerów, już prawie przygotowanych.

Na to poparcie liczymy.

Wskutek przebudowy lokalów drukarni i wynikających ztąd trudności technicznych będziemy mogli powyższe nasze plany, już dawniej zapowiedziane dopiero w nowym kwartale wykonać.

„Praca."

naglącej potrzebie stworzenia bliższego punktu styczności naszego wydawnictwa ze Śląskiem i Galicyą.

Jesteśmy pewni, że filia krakowska „Pracy" będzie zarówno pod względem wydawniczym, jak i politycznym, *jednym więcej węzłem, łączącym Poznań z Krakowem, a obie te kolebki życia polskiego z najstarszą z polskich dzielnic — ze Śląskiem.*

Wydawnictwo „Pracy,"
Marcin Biedermann.

Czytelnicy! Pamiętajcie, że mamy już od długiego czasu trzech redaktorów w więzieniu, nie opuszczajcie więc „Pracy" w tej ciężkiej godzinie! Dajcie dowód zdwojonej energii i siły! Z wytrwałością rozszerzajcie pismo nasze, przysparzajcie nam nowych czytelników!

Prosimy usilnie wyciąć kwit abonamentowy i podać go znajomemu, z gorącą zachętą do przedpłaty. — Niech „Praca" znajdzie przystęp do każdego domu! Niechby sobie każdy z Czytelników poczytał za obowiązek pozyskania choćby tylko jednego nowego abonenta, a byłoby to najlepszą i najgodniejszą odpowiedzią za nasze cierpienia.

Czytelnicy! Liczymy na Wasze poparcie.

Wiadomości.

— **Do rodziców!** Ubodzy rodzice, którzy dla zarobku wychodzą z domu, a przez to dzieci swoje pozostawiają bez dozoru, mogą je posyłać codziennie **od godz. 3—7 do Przytuliska,** gdzie znajdą odpowiednie zajęcie, dobrą opiekę i dostaną **bezpłatnie** ciepły podwieczorek. — Wymaga się jednakże od rodziców, ojca lub matki, aby dziecko **do zapisu sami przyprowadzili i rozmówili się z opiekunką Przytuliska.** Przytulisko znajduje się na sali Dominikańskiej przy ul. Szewskiej nr. 18.

1) Matka, chcąca przysłać dziecko do Przytuliska **ma się starać,** aby ono wychodziło z domu **umyte, uczesane** i choć najbiedniej, ale **czysto** ubrane.

2) Dziecko powinno przynieść do Przytuliska: **książkę i zeszyty,** potrzebne do odrabiania zadań szkolnych, **rysik i kubeczek** do mleka.

3) Dziecko, **które 4 dni, jeden za drugim** nie przybędzie do Przytuliska, a matka nie przyjdzie powiedzieć, dlaczego ono nie chodzi, **wykreśla się z książki.**

4) Aby rodzice wiedzieli, że ich dziecko nie zmarnowało czasu na wałęsaniu się po ulicach, lecz było w Przytulisku, **daje mu się kartkę,** którą rodzicom powinni **pokazywać codziennie.** Rodzice, troskiwi o dobro swego dziecka, **powinni gorliwie ostatniego przepisu dopilnować.**

Zarząd Towarzystwa
„Przytuliska dla dziatwy szkólnej."

— **Skład bławatny** jest na sprzedaż pod bardzo korzystnemi warunkami w mieście powiatowem. Bliższe szczegóły podane są w odnośnem ogłoszeniu.

— **Panna Helena Drygas,** znakomita pianistka nasza, która odbywszy studya muzyczne na akademii monachijskiej i konserwatoryum lipskiem, koncertowała z wielkiem powodzeniem po rozmaitych miastach w Niemczech, a od niedawna osiadła w mieście naszem, otwiera tu, jak słyszymy, *seminaryum dla nauczycielek muzyki i śpiewu.*

W planie nauk pomieszczone być mają gra na fortepianie i harmonium oraz wszelkie przedmioty, wchodzące w zakres teoryi muzyki i śpiewu. Zakładu takiego wielki brak uczuć się dawał. Szczęść mu Boże!

— **Otwarcie interesu.** Z dniem 5 października otwiera p. Józef Sucharski w Nakle w rynku skład sukna, bławatów, płócien i bielizny.

Szczęść Boże rodakowi!

— **„Głos Narodu"** wychodzący od szeregu lat w Krakowie, a założony przez ś. p. Józefa Rogosza przeszedł z rąk osławionego p. Ehrenberga w ręce dotychczasowego redaktora „Czasu" p. Antoniego Beaupré, przyczem cały skład redakcyi, a i po części kierunek pisma uległ zmianie. Redaktor nasz p. dr. Rakowski, mieszkający w Krakowie, przyrzekł nowej redakcyi swe współpracownictwo w kwestyach zaboru pruskiego. Niektóre pisma mylnie ogłosiły, że p. dr. Rakowski jest współredaktorem „Głosu", tak jednak nie jest.

— **Procesy „Lecha."** Redaktor p. Paliński zasiadł dnia 23 b. m. na ławie oskarżonych przed gnieźnieńską izbą karną w dwóch sprawach. W pierwszej chodziło o rzekomą obrazę, jakiej się jeden z nauczycieli wrzesińskich doczytał w korespondencyi „Lecha" (nr. 158), w której była mowa o miłosierdziu okazywanem dla konia, niedźwiedzia itd. W drugiej sprawie chodziło o artykuł, w którym wyrażono oburzenie z powodu rozdzielania niemieckich katechizmów między dzieci polskie. Pierwsza sprawa została odroczoną, w drugiej po świetnej obronie mecenasa Karpińskiego p. Paliński został uwolniony.

— **Na Czytelnie** ludowe złożyli w dalszym ciągu pp. Jankowski i Ślósarczyk z Erfurtu 21 mrk. 75 fen.

Razem złożono na cel powyższy 45 mrk. 5 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **„Przewodnika zdrowia"** nr. 9 na wrzesień (Czarnowski, Berlin, Karlstrasse 32) wyszedł i zawiera: Zapobieganie chorobom nerwowym u osób skłonnych do takowych. Wedle prof. Krafft-Elbinga. — Nieco o włosach i o pielęgnowaniu tychże. — Oczyszczanie zepsutego powietrza ozonem. — Spoczynek w łóżku jako środek leczniczy. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości.

— **Dwa tygodnie więzienia!** Dnia 23 go bm. stawał przed toruńską izbą karną p. Leon Trzebiński, oskarżony o obrazę urzędników pocztowych, której dopatrzono się w artykule „Gaz. Tor." o nieporządkach na poczcie. Jako świadkowie stawali panowie poseł Czarliński, dr. Jaworowicz i S. Buszczyński, którzy poświadczyli, że zaszły różne nieporządki na poczcie. Nadto wezwała obrona na świadka dyrektora miejscowego gimnazyum, który miał poświadczyć, że młodzież, której trudno ukończyć gimnazyum, częstokroć poświęca się służbie pocztowej. Pan dyrektor zeznał pod przysięgą, że nic o tem nie wie. Prokurator zażądał, aby oskarżonego skazano na miesiąc więzienia. Obrońca p. adwokat Szuman wykazywał, że oskarżony bronił uprawnionych interesów, starając się o usunięcie nieporządków i zaprowadzenie ulepszeń w służbie pocztowej. Dlatego powinien zostać uwolniony. Oskarżony zaznaczył, że zażalenia, wnoszone na pocztę, nie odniosły skutku. Natomiast po ogłoszeniu artykułu, o który poczta skarży, nieporządki ustały. Artykuł był więc skuteczny.

Sąd po krótkiej naradzie wydał wyrok, skazujący pana Trzebińskiego na dwa tygodnie więzienia. Przewodniczący p. Grassman, uzasadniając wyrok, powiedział, że na poczcie zaszły nieporządki, ale przy tak wielkim aparacie niepodobna ich uniknąć. Nadto artykuł był napisany tak ostro, że § 193 nie może oskarżonego obronić przed karą. Obraza jest bardzo ciężka i dlatego skazano oskarżonego od razu na więzienie, chociaż po raz pierwszy miał sprawę z prokuratorem.

— **Slub.** Dnia 17 września r. b. zawarty został związek małżeński pomiędzy p. Arturem Szenicem, synem ś. p. Józefa i Każmiry z Janta-Połczyńskich Szeniców, dziedzicem Korzkiew, a p. Józefą Cichoszewską, córką Antoniego i Anny z Skórzewskich Cichoszewskiej z Mamot. Aktu ślubnego dopełnił ks. dziekan Dziegiecki w kościele parafialnym w Czerminie.

Szczęść Boże, młodej parze!

Od Redakcyi.

Pani Aleksandrze Salesze w Starozębach (Galicya). — Wiersze p. t. „Los dziewicy" i „Wrzesień nie najgorszy" nie nadają się do „Pracy."

Panu K. Malinowskiemu w Bydgoszczy. — Informacyą w tej sprawie służyć nie możemy, pomimo najszczerszej chęci.

Panu Szczepanowi Branickiemu w Gródku (Galicya). — W przyszłości zastosujemy się do Jego życzenia.

Panu A. I. Czarn.... — Szanowny Pan nie zna widać celu tych instytucyi, które stósownie do tego celu rządzą się osobnemi prawidłami przepisanemi prawnie, do których muszą się stósować. Rozstrzygały w tej mierze niejednokrotnie sądy i wyższa zwierzchność administracyjna na korzyść instytucyi.

Szanowny Pan możesz się też na tej drodze przekonać, czy pretensye Jego są słuszne, czy też polegają na braku dokładnej znajomości prawideł, według których tego rodzaju instytucye rządzić się muszą, bo są do tego prawnie zobowiązane.

„Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" Charlottenburg, Rosinenstr. Nr. 3." — Tak zaadresowany list zwróciła nam poczta z dopiskiem: „Verein Rosinenstrasse 3 unbekannt — verzogen." Prosimy zatem Szanowne Towarzystwo o łaskawe przysłanie nam dokładnego adresu.

„Polnischer Verein in Schönnebeck p. Magdeburg" — Tak zaadresowany list zwróciła nam poczta z dopiskiem: „Egsistirt in Schoeneberg — Elbe nicht" Prosimy więc Szanowne Towarzystwo o łaskawe przysłanie nam dokładnego adresu.

Pani Rek.... w Szamotułach. W herbarzu Niesieckiego nie ma żadnej wzmianki o rodzinie Rekowskich.

P. Fr. Skupski, St. Louis, Półn Ameryka. — „Praca" zapłacona do 1-go października 1902 roku.

Panu Kow. w Slisinie. — W księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.

Panu M. Skrz. w Königsaue. — Jeżeli zegarmistrz zegarka oddać nie może lub nie chce, to Pan musisz skarżyć o wydanie zegarka lub zapłacenie jego wartości.

Agentury
„Pracy" i Czytelni Polskiej"
W. Ks. Poznańskie.
Miasto Poznań.

Berlińska ul 12 p. Lisiewicz.
Bismarka ul 6 p. Mazurkiewicz.
Bramkowa 6 p. M. Szymański, destylacya.
Fryderykowska 19 p. A. Depczyńska, handel kolonialny.
Garbary Wielkie 51 p. Lewandowski.
„ *Małe 4* p. Dąbrowski.
Kopernika 10 p. K. Cichocka.
Piekary 22 p. E. Milich, skład tow. kolonialnych.
Półwiejska 11/12 p. Kl. Jeszka, skład tow. kolonialnych.
Półwiejska 6 p. Ed. Krug, Syn.
Stary Rynek 53/54 Księgarnia Katolicka.
„ „ *35* pod ratuszem p. F. Turowski.
Strzelecka 14 p. Franciszek Czternasty, portier fabryki Cegielskiego.
Strzelecka 23/24 p. Iłowiecka.
Św. Marcin 10 Księgarnia A. Cybulskiego
„ „ *41* p. W. Lamperski.

Św. Wojciech 3 p. Langner.
" " *26/27* p. A. Rybka, handel wiktuałów.
Wilhelmowski plac 14 Firma W. Becker, skład delikatesów.
Wilhelmowska ul. 8 księgarnia p. I. Leitgebra.
Wilhelmowska ul. 17a p. C. Sokołowska, handel kolonialny.
Wodna 1 p. Ignasiak.
" 25 p. M. Flieger.
Wrocławska 29 p. Stefan Chociszewski, skład cygar.
Wrocławska 36 p. Szulc.
Wroniecka 6 p. Gackowski u p. Kantorowicza.
Żydowska 30 p. Wojciech Kaczmarek.

Chwaliszewo.

Chwaliszewo 1 p. Łaganowski
" *18* p. Radomski
" *35* p. Wybieralski
" *67* p. Koltermann, skł. mąki
" *69* p. Zieliński, drogerya
Wenecka 16 p. Bolesław Szczerkowski

Śródka.

Śródka rynek 1 p. Fischbach
Warszawska 5 p. Kałużny.

Jerzyce.

Berlińska 54 p. Chmielewski
" *65* p. Lewandowski
Cesarza Fryderyka 16 p. W. Czyżykowska
" *Wilhelma 28* p. K. Wagner
Jadwigi 14 p. K. Buchowski
" *30* p. Śniegocki
Moltkego 22 p. Winkler
Poznańska 29 p. Mitulska
Średnia 12 p. Dolacki.

Św. Łazarz.

Głogowska 77 p. Kaczmarek
Parkowa 11 p. J. Rażny
Św. Łazarza 3 p. Ziółkowska
" *41* p. Skowroński.

Wilda.

Małgorzaty 2 p. M. Andrzejewski.
Następcy tronu 35 p. M. Sarna, skł. wikt.
" *99* p. J. Kamiński.
Strumykowa 1 p. Sroczyński.

Żegrze.

P. J. Sobecki, balwierz.

Na prowincyi.

Bydgoszcz, księgarnia p. L. Neumanna, ul. Fryderykowska 1.
Gniezno, p. Roman Majerowicz, ul. Trzemeszeńska.
Grodzisk, p. W. Aleksandrowicz.
Inowrocław, księgarnia p. Kompfa, ul. Fryderykowska 5.
Mogilno, p. Fr. Wiśniewski.
Ostrów, księgarnia W. Łeitgebra.
Przement, p. B. Wojciechowski, organista.
Śmigiel, p. A. Wojciechowski, organista.
Śrem, p. C. Wojciechowski, handel papieru.
Wągrówiec, p. Samoliński, handel cygar „Havana".
Wolsztyn, p. Roman Szczerkowski.
Września, p. Starkiewicz, handel cygar.

Prusy Zachodnie:

Czersk, p. Leon Zynda, księgarnia.
Pr. Starogard, p. Nowak, księgarnia.
Toruń, p. K. Zabłocki, księgarnia.

Górny Śląsk:

Bogucice, p. Franciszek Marcol i p. Paweł Sus.
Brzeście, p. Miserau, p. Józef Lazar.
Dorota, p. Zabrze p. Michał Blachut, ul. Polna 6.
Gliwice, p. Jasiczek, księgarnia.
Godullahütte p. Morgenroth, p. Michał Bromma.
Janów, przy Mysłowicach p. A. Spiera.
Katowice, p. Antoni Stoc, księgarnia katolicka.
Królewska Huta, p. A. Komendziński, księgarnia, p. J. Mateja, ul. Puddlera 30 i p. Jan Szeja, ul. Hajduka.
Kokociniec p. Idaweiche, p. Paweł Schwedt.
Mikucice, p. Józef Sieradzon.
Mała Dąbrówka przy Katowicach, pan Franciszek Wyroda.
Opole, ekspedycya „Gazety Opolskiej"
Pyskowice, p. Feliks Orlicki
Rozbark, p. Bytom p. Glazowski, księgarnia
Rożdzień, p. Franciszek Richter w domu p. Walitza naprzeciw kościoła farnego i p. Jan Badura, ul. Bogufała 10.

Obczyzna:

Altenessen p. Walenty Nowak, Heinrich strasse 40/41.
Batenbrock p. Botropp, Westfalia p. Karol Kocur, Bez. III Nr. 5.
Baukau p. Herne, Westf. p. M. Wojciekiewicz, Kraugestr. 48,
Bernburg, p. Józef Spychalski, Rosinenberg;
Bochum, Westf. p. Ignacy Kwaśniewski, Friedrichplatz 2.
Botropp, Westf., p. Ludwik Procek.
Bremena p. Jan Marcinczak, Stefensweg 98 II.
Bruch p. Recklinghausen, p. Ludwik Kubiaczyk, Marienstr. 346 przy kościele katolickim.
Dellwig p. Jan Swoboda, Rollstr. 10.
Habinghorst przy Dortmundzie, p. Marcin Jarczyński, ul. Fryderykowska 10.
Hörde II., p. Antoni Strojnowski, Bickernst. 18.
Lüssum p. Blumenthal, i. H. p. A. Kotowski.
Ueckendorf (Westfalia), p. Stanisław Kunz Bochumerstr. 40.
Misburg przy Hanowerze, p. Michał Maciejewski Nr. 114.
Neumühl Nadrenia, p. Franciszek Rostkowski Bergmannstr. 11 a.
Wanne, Westfalia, p. Franciszek Mańkowski, Bahnhofstr. 98.

Galicya.

Biała, pp. Kubaczka & Lang, księgarnia.
Kraków, księgarnia p. D. Friedleina i p. S. A. Krzyżanowskiego.
Rzeszów, p. J. A. Pelar, księgarnia.
Sanok, p. K. Pollak, księgarnia.
Stanisławów, p. Jasielski & Sp.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy" Wincenty Szmytkowski.



Przeoczył.

— Pan bierze pieczeń rękami, panie profesorze?
— O... przepraszam za roztargnienie... myślałem, że to szpinak.

Otwarcie interesu.

Szanownej Publiczności **Nakła** i okolicy donoszę uprzejmie, że z dniem 5-go października **w rynku** w domu p. **Michel** otwieram

skład sukna, bławatów,

płócien i bielizny.

Staraniem mojem będzie służyć **towarem dobrym** po **cenach jak najniższych,** lecz stałych. Licząc na łaskawe poparcie Szanownej Publiczności piszę się

z wysokim szacunkiem

686 **Józef Sucharski.**

Nie jest podobieństwem

aby każdemu dogodzić i dać mu taką hipotekę, jaką sobie życzy, jeśli wszyscy o jednym czasie, a mianowicie przy zmianie kwartału swe życzenia objawią.

Ponieważ już od przyszłego pierwszego zaczną nadchodzić z dokonanych parcelacyi prawie co tydzień nowe serye hipotek, dlatego upraszamy Szanownych Reflektantów na hipoteki i Szanowne Dozory kościelne, aby zawczasu zamówiły sobie takowe u nas i podały, na jakie kwoty i na który dzień życzą sobie mieć

pierwszomiejscowe 5-procentowe hipoteki

Bank Parcelacyjny

Poznań, na Piekarach 18

którego kasa oszczędności i nadal od depozytów płaci $4^1/_2$% za kwartalnem, a $5^1/_2$% za półrocznem wypowiedzeniem. 681

Depozyta do wysokości 10,000 mk. mogą być **każdego czasu przyjęte,** ponad tę sumę zaś tylko za poprzedniem porozumieniem się.

Za bezcen!

Elementarz Polski Poznański,

t. zw. z Aniołkiem, 80 str. 43 illustr. opr. 30 fen. Najlepszy, najtańszy, najwięcej rozpowszechniony.

Chociszewski. Czarodziejska lampa 25 f., opr. 40 f. — Humorysta polski, 16 ryc. 50 fen. — Koszałki opałki 40 fen. — Powieści i podania 18 ryc. 80 f., opr. 1,20 m. — Przemówienia przy wesołach i chrzcinach 50 f. — Róże i Niezapominajki (dla kochających i narzeczonych) 75 f. — Wesoły czarodziej, 12 ryc. 40 f. — Złota książeczka dla dzieci o IV przykazaniu, 8 ryc. 1 m., kart. 1,25, opr. 1,60. — **Chwalibor,** Ofiara Żmudzina z 1831 r. 60 f. — **Dziryt,** Michałko, 5 ryc. 35 f., opr. 50 f. — Na bruku. — Z poddasze, ozd. opr. 1,60 m. — Na Jasnej Górze, pow. z XVII w. 5 ryc. 1,20, kart. 1,5,0 opr. 1,60 m. — Okruch, 30 pow. i wiersz. 25 ryc. 1,20, kart. 1.60, opr. 1,80 m. — U kolan babuni. 7 ryc. 80 fen., kart. 1,20, opr. 1,40 m. — **Józef,** młody jeniec tatarski, 30 f., opr. 40 f. — **Kabała** cz. sztuka wróżenia kropkami 15 f. — **Mieczysław,** Ofiara z krwi polskiej w obronie chrześciaństwa 40 f. opr. 55 f. poleca za odebraniem należytości, obszerne katalogi darmo i franko 652

A. Cybulski, Księgarnia, Poznań.

Zapałka elektryczna



wydaje wskutek naciśnienia palcem każdej chwili jasne światło. | Można jej użyć kilka tysięcy razy, zanim bateryą suchą zastąpi się nową. — Cena 12,50 mk. Baterya rezerwowa 1,25 mk. Cennik nowości elektrycznych wysyła się darmo.

677 **Curt Vogt, Aschersleben.**

Prima prósze torfowe, mąka torfowa, torf do palenia — dostarcza z powodu korzystnego położenia jak najtaniej 380

Gosewisch & Rischbieth,

fabryka prósza torfowego,

Neustadt a. Rbge. (Hannover)

Na ulicy.

X. pędzi ogolić się i pyta spotkanego przyjaciela.

— Gdzie się golisz?

— „Na brodzie!“ — brzmi lakoniczna odpowiedź.

Prawdziwy

Szodon



jedyną w Europie najznakomitszą delikatesę wódczaną poleca

682

B. Kasprowicz

w Gnieźnie.

Filia dla eksportu zamorskiego w Hamburgu, reprezentant **H. Dirks.**

Lekcyi

języków, korepetycyi, i muzyki udziela po cenach przystępnych w domu i poza domem nauczycielka wyższa, Polka, która złożyła z odznaczeniem egzamin rządowy.

Bliższe szczegóły wskaże ekspedycya „Pracy“ pod znakiem **„Nauka.“**

Karty okrętowe

z Hamburga do Ameryki i Brazylii itd.

poleca 353

Adam Spektorek

w **Chodzieżu (Kolmar i Pr.).**

Kto karty okrętowe u mnie kupuje, jedzie pod opieką stowarzyszenia katolickiego św. Rafaela, przez co ochroni się od każdej moralnej i materyalnej straty.

Parcelacya.

Dominium Gruszczyn odsprzeda kilka set mórg roli w parcelach porządanej wielkości.

Położenie bardzo dogodne, 15 minut od Swarzędza, 20 minut od Główny, przy szosie i pomiędzy dwoma kolejami.

Mający zamiar parcelę nabyć, niech się zgłoszą do

676 **Dominium Gruszczyna.**

Zaproszenie do przedpłaty na

„Ziemianina.“

„Ziemianin“ Tygodnik rolniczo-przemysłowy, organ Centralnego Towarzystwa Gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem, wychodzi co sobotę w Poznaniu, w formacie wielkiego $1-1^1/_2$ arkusza, często z rycinami.

Przy **„Ziemianinie“** wychodzą trzy **bezpłatne** dodatki: 1) Rocznik Centr. Towarz. Gosp., zawierający **wszystkie** rozprawy i wykłady wygłoszone na Walnem Zebraniu. 2) **„Przegląd gorzelniczy“** pismo miesięczne. 3) **„Ogród jako źródło dochodu.“**

„Ziemianin“ kosztuje na pocztach w Niemczech 3 mk. Cena zniżona dla urzędników gospodarczych i niezamożnych gospodarzy wynosi kwartalnie **1 mk. 90 fen.,** półrocznie **3 mk. 80 fen.,** którą wprost do Redakcyi **w Poznaniu, Półwiejska ul. 5, I** przesyłać należy. Za zniżoną cenę nie można na poczcie zapisywać.

Redakcya „Ziemianina“ w Poznaniu

Półwiejska ul. 5, I piętro.

W mieście pow., około 6000 mieszkańców, jest

skład bławatny

w najlepszem miejscu w rynku od zaraz pod bardzo korzystnemi warunkami do nabycia. Okolica jest polska, a niema ani jednego polskiego składu tej branży. Bliższych wiadomości udzieli ekspedycya „Pracy“ pod lit. **N. N. nr. 684.**

Dom

mój, położony w **Żerkowie,** przy kościelnej ulicy, kwalifikujący się dla rzeźnika lub piekarza, do tego ogród, 5 morgów roli i 2 morgi łąki, mam zamiar zaraz sprzedać. Zgłoszenia przyjmuje

Kwapiszewski,

687 dzierżawca probostwa w Krotoszynie.

Ucznia

z odpowiednem wykształceniem, syna porządnych rodziców przyjmie zaraz lub później 642

I. Konopiński,

Śrem (Schrimm).

Kupiec,

kawaler, 28 lat, przystojny, dobrego usposobienia, mając własnego kapitału 3000 marek, obecnie w stałem miejscu jako zawiadowca interesu bławatnego z pensyą miesięczną 200 marek, poszukuje dla braku znajomości

towarzyszki życia.

Panienki do 25 lat, skromnie wychowane z porządnej familii z majątkiem od 4—6 tysięcy marek gotówki, zechcą łaskawie swe oferty z fotografią ze zaufaniem nadesłać do eksp. „Pracy“ pod lit. H. nr. 663. Ścisła dyskr. rzecz honorowa. Anonimów się nie uwzględnia. 663

Młody, przystojny kawaler 26 lat liczący, rzemieślnik i właściciel dobrze prosperującego interesu, szuka dla braku znajomości pań

towarzyszki życia.

Panienki w wieku 20—23 lat, posiadające 3—4 tysięcy marek, z dobrej familii, raczą swe oferty wraz z fotografią, gdzie na życzenie z powrotem odesłane będą, złożyć w eksp. „Pracy“ pod lit. Z. W. 666.

Dyskrecya pod słowem honoru. 666

Kontrybucya.

— Tak wyglądasz, jakby ci kto garść włosów wyrwał.

— To, widzisz, kontrybucya na rzecz żony po powrocie do domu o szóstej zrana.

— Patrz, Marysiu, na tych krzesłach kurz na palec gruby spoczywa!

— Nic dziwnego, proszę pani, przecież na nich dzisiaj nikt jeszcze nie siadał.



Kurdowie obozujący.

Album „Pracy.“ Drukiem „Pracy.“